

Anna DePalo

Dziecko fortuny

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Zdecydowałam się na sztuczne zapłodnienie -oświadczyła Liz. - Oczywiście skorzystam z banku spermy.

- Zwariowałaś? - zawołała jej serdeczna przyjaciółka, Allison Whittaker. - Nie przeszkadza ci, że twoje dziecko nie będzie znało własnego ojca?

Siedzieli w pełnym książek gabinecie w domu rodziców Allison, imponującym budynku z czerwonej cegły na przedmieściach miasteczka Carlyle, leżącego na północny wschód od Bostonu. Co roku z okazji Dnia Pamięci rodzina Whittakerów organizowała wielkie grillowanie dla sąsiadów i przyjaciół. W tym roku miało być tak samo, mimo że Ava i James, rodzice Allison, podróżowali po Europie.

- Trochę przeszkadza, ale nie mam innego wyjścia. Zresztą bank spermy ma swoje zalety: można sobie wybrać kolor oczu, wzrost... No wiesz, wszystko.

Kilka tygodni wcześniej Allison pojechała z przyjaciółką do szpitala. Pobrano Liz wycinek, a jego badanie potwierdziło wcześniejszą diagnozę ginekologa oraz najgorsze obawy Liz: endometrioza.

Na szczęście nie był to ciężki przypadek, w dodatku wcześnie wykryty, więc wystarczył krótki zabieg ambulatoryjny, podczas którego usunięto z macicy groźną narośl. Jednak nikt nie mógł przewidzieć, co przyniesie przyszłość, a to oznaczało, że Liz igrała z losem, przeciągając zajście w ciążę o kolejny rok. O ile już nie było za późno.

- Nie wolałabyś skorzystać z pomocy kogoś znajomego? - drążyła Allison. - Przynajmniej byś wiedziała, kto jest ojcem twojego dziecka.

Liz nie mogła się pogodzić z tym, że jeśli chce mieć własne dziecko, to musi się pospieszyć. Przecież nie miała nawet trzydziestu lat, do których brakowało jej pół roku.

Zawsze chciała mieć rodzinę. Jej mama umarła, kiedy miała osiem lat. Została sama z ojcem, który chuchał na nią i dmuchał. Pewnie dlatego za wszelką cenę chciała udowodnić całemu światu, a zwłaszcza swemu nadopiekuńczemu ojcu, że ma głowę do interesów. Gdyby nie ta paląca potrzeba pokazania wszystkim własnej wartości, może mniej czasu poświęcałaby karierze zawodowej, a więcej życiu osobistemu, które w tej chwili praktycznie nie istniało.

W posiadłości Whittakerów też była dziś z powodów zawodowych. Miała nadzieję zdobyć duże zamówienie dla Precious Bundles, własnego biura projektowego, specjalizującego się w dekoracji wnętrz ze szczególnym uwzględnieniem pokoi dziecięcych i placów zabaw.

Allison zaproponowała, żeby to właśnie Liz zrobiła projekt żłobka, który miał powstać w biurowcu Whittaker Enterprises. Ten kontrakt - największe zamówienie w dotychczasowych dziejach Precious Bundles - mógłby postawić na nogi niewielkie przedsiębiorstwo Liz.

Obie przyjaciółki czekały właśnie na przybycie Quentina, brata Allison i prezesa zarządu Whittaker Enterprises w jednej osobie. Liz i Quentin mieli tego dnia przypieczętować kontrakt.

Liz poczuła dobrze znany niepokój, który zawsze ją ogarniał, gdy myślała o Quentinie.

- Oczywiście, dobrze by było znać ojca dziecka - powiedziała. - Tylko nie wiem, kogo mogłabym wykorzystać. Wiesz, że z nikim się nie spotykam...

- Mam trzech braci - przypomniała jej Allison. Liz zamarta na chwilę, a potem się uśmiechnęła.

- Widzę, że wracamy do intryg matrymonialnych, w które się bawiliśmy w czasach szkolnych.

- Przecież je uwielbiałaś! - Allison udała obrażoną. Liz oparła się o poduszki kanapy i westchnęła. Allison była wytrwała. Ta cecha charakteru bardzo się przydawała w pracy zawodowej. Allison była świetnym prawnikiem, robiła błyskotliwą karierę w

Biurze Prokuratora Okręgowego w Bostonie. Niestety, w prywatnym życiu taka nieustępliwość była dość uciążliwa.

- Nie sądzisz, że namawianie twoich braci, albo chociaż jednego z nich, do oddania spermy to całkiem zwariowany pomysł?

- Dlaczego? - Allison wstała, zaczęła spacerować po pokoju. - A wiesz, to chyba idealne rozwiązanie. Mama marzy o wnuku, ale żaden z moich braci nie kwapi się z dostarczeniem jej tego towaru. A ja nie zamierzam poślubić byle kogo tylko po to, żeby ją uszczęśliwić. - Zatrzymała się, posłała przyjaciółce zwycięski uśmiech. -A ty, w odróżnieniu ode mnie, będziesz wspaniałą matką. Najlepszą na świecie!

- Czym najlepszym? - odezwał się od progu miły, niski głos.

Quentin Whittaker, najstarszy z trzech braci Allison, zawsze przyprawiał Liz o zawrót głowy. Wysoki, z krótko przystrzyżonymi czarnymi włosami, miał gładką twarz naznaczoną w kąciku ust niewielką blizną pozostałą po jakimś meczu hokejowym z czasów studiów.

- Cześć, Elizabeth - rzucił jakby od niechcienia. Nigdy nie mówił Liz, jak wszyscy, ani Lizzie, jak zwracali się do niej bliscy przyjaciele.

Po raz pierwszy spotkali się właśnie w tym pokoju, w domu jego rodziców. Liz miała wówczas osiemnaście lat, była tuż przed maturą, a on miał dwadzieścia pięć lat i robił magisterium w Harvard Business School. Liz była w nim wówczas bez pamięci zakochana, ale Quentin jej nie zauważał.

- Czym najlepszym? - powtórzył pytanie, zwracając się do Allison.

- Liz musi mieć dziecko. I to szybko.

- Allison! - Liz spojrzała ze zgrozą na przyjaciółkę. A przecież wiedziała, że gdy Ally wpadnie na genialny pomysł, to już nie popuści. Jak pies, który za nic nie odda raz zdobytej kości.

- Co takiego? - Quentin stanął jak wryty.

- Lekarz powiedział, że ma endometriozę. Im dłużej będzie czekała z zajściem w ciążę, tym bardziej prawdopodobne, że nic z tego nie wyjdzie.

- To prawda? - Quentin wzrokiem przyparł Liz do miejsca.

- Tak - powiedziała cichutko.

Allison chyba nawet nie zauważyła żalostnego, proszącego spojrzenia przyjaciółki.

- Potrzebny jej dawca spermy - oznajmiła.

- Przeczucie mi podpowiada, że nie mówisz mi o tym przypadkiem. Założę się, że szukasz dla niej dawcy - powiedział Quentin.

- Rodzice najbardziej ciebie naciskają, żebyś się wreszcie ustatkował - mówiła Allison, jakby naprawdę nie usłyszała złowieszczej nuty w głosie brata. - A ty sam stwierdziłeś, że nie zamierzasz już nigdy więcej nawet się zbliżyć do ołtarza. Moim zdaniem byłoby to idealne rozwiązanie problemów was obojga.

- Allison, proszę! - policzki Liz były coraz czerwieniejsze. Było jej potwornie wstyd, że Allison zaproponowała akurat Quentinowi, żeby został ojcem jej dziecka. Zresztą Quentin wydawał się tak samo przerażony tą perspektywą.

- Ty chyba nie wiesz, o czym mówisz - zwrócił się do siostry. Na jego twarzy widać było wszystko, łącznie z tym, że uważa, że Ally zwariowała.

Liz odetchnęła z ulgą. Jak mogłam choć przez chwilę przypuszczać, że Quentin skorzysta z okazji i zgłosi się do roli ojca, pomyślała.

- Ja nie wiem, o czym mówię? - spytała Allison, spoglądając z dezaprobatą na szary garnitur i niebieski krawat brata. - Dziś jest sobota, Quent, długi weekend przed Dniem Pamięci, a ty co robisz w taki dzień? Oczywiście pracujesz! O ile cię znam, przyszedłeś do gabinetu, żeby poszukać sobie jakiegoś zajęcia. I ty śmiesz twierdzić, że ja nie wiem, o czym mówię?

- Quentin - wtrąciła się zrozpaczona Liz. - Ja naprawdę nie prosłam Allison o wstawiennictwo. Właśnie jej mówiłam, że zamierzam skorzystać z usług banku spermy.

- Czy wyście obie oszalały? - warknął Quentin. - Zdawało mi się, że pomysł Allison jest co najmniej dziwaczny, ale teraz widzę, że z was dwóch jednak bardziej normalna jest moja siostrzyczka.

- Bank spermy to rozsądny pomysł - broniła się Liz, czując rumieńce na twarzy. - Wiele kobiet korzysta z tego rozwiązania.

- Ale nie takich jak ty! - burknął Quentin. Ciekawe, od kiedy to został ekspertem od Liz Donovan, pomyślała Liz. Od jedenastu lat, odkąd go poznałam, zachowuje się tak, jakby nawet nie zauważył, że jestem kobietą. Quentin zawsze trochę ją onieśmiała, ale tym razem złość okazała się silniejsza.

- Pozwól, że sama zdecyduję - syknęła. - W końcu to mój problem.

- No widzisz, Quent? - wtrąciła się Allison. - A nie mówiłam?

Quentin spojrzał ostrzegawczo na siostrę, po czym znów popatrzył na Liz.

- Dlaczego nie możesz po prostu wyjść za mąż? Czy małżeństwo to coś złego? Znajdź sobie jakiegoś miłego chłopca i zabierzcie się do robienia dzieci.

- Ot, tak? - Liz pstryknęła palcami. - A gdzie, twoim zdaniem, mam znaleźć tego miłego chłopca?

- Wybierz sobie któregoś. Nie jesteśmy trudną zdobyczą.

- Czyżby? Tobie się zdaje, że to nic trudnego, ale ja mam na ten temat inne zdanie. - Zaczęła odliczać na palcach. - Kilka miesięcy zajmie mi znalezienie odpowiedniego faceta, potem randki, co najmniej kilka tygodni. Na trzecim, najpóźniej na czwartym spotkaniu, pozwolę mu się do siebie zbliżyć.

Mięśnie na twarzy Quentina drgały niebezpiecznie.

- Nie będzie za wcześnie? Jak myślisz, Quentin? - spytała kpiąco Liz. - Podobno mężczyźni narzekają, że to zawsze strasznie się wlecze.

- Elizabeth... - ostrzegł ją Quentin.

Prowokowała go. Świadomie. Po raz pierwszy ośmieliła się na coś takiego. To było nierozważne, nawet niebezpieczne, ale tym razem się nie bała. Może z powodu tej diagnozy? W każdym razie coś się w niej zacięło.

- No to mamy za sobą miesiąc znajomości - ciągnęła.

- Nie ma czasu do stracenia, więc się oświadczam.

Niewiele brakowało, żeby straciła panowanie nad sobą. Rozpacz, którą starała się ukryć przed światem, właśnie teraz postanowiła się zerwać z łańcucha.

- Powiedzmy, że mam szczęście i pierwszy mężczyzna, któremu się oświadczę, będzie na tyle miły, że się ze mną ożeni. No, ale ślubu nie dają od ręki, trzeba poczekać kilka tygodni...

- Elizabeth...

- Jeszcze nie skończyłam - nie dała mu dojść do głosu. - Na razie mamy za sobą cztery miesiące, może nawet pięć. Założmy, że tak bardzo mu się podobam, że zgadza się przystąpić natychmiast do robienia dzieci. Za pierwszym razem raczej się nie uda, więc trzeba doliczyć jeszcze kilka miesięcy na próby. Wychodzi sześć do siedmiu miesięcy przy założeniu, że wszystko doskonale się łoży.

Quentin zacisnął pięści, był ponury jak chmura gradowa. Liz wiedziała, że przesadziła, ale nic a nic ją to nie obchodziło.

- Posłuchaj, Elizabeth, nie wiem, co ci powiedziała Allison, ale oświadczam ci, że nie zamierzam mieć dzieci. Mama na pewno ucieszyłaby się z wnuka, ale prócz mnie ma jeszcze trójkę dzieci. Niech któreś z nich się poświęci i spełni jej marzenia.

Allison odkaszlnęła. Oboje popatrzyli na nią.

- Daj spokój, Quentin, rodzice od dawna cię naciskają. I nie tylko z powodu wnuka. Oni się o ciebie martwią. Odkąd...

- Moje życie prywatne jest całkiem normalne. Dziękuję za zainteresowanie.

Normalne? Oczywiście, można to tak określić. Życie prywatne Quentina od lat było smacznym kąskiem dla bostońskich gazet. Gdyby polegać na opinii dziennikarzy, lubił bogate panny z dobrych domów, o figurach modelek, najlepiej pracujące zawodowo.

Liz tak bardzo się różniła od tego ideału, że aż śmiać się chciało. Jej niesforne kasztanowe włosy sięgały poniżej ramion, a figura... Ciągłe obiecywała sobie zrzucić nadliczbowe trzy kilogramy, ale one ani myślały jej opuścić.

- Przecież ojcostwo to nie tylko plemniki - tłumaczył się Quentin. - Jeśli już miałbym zostać ojcem, to chciałbym być przynajmniej opiekunem swojego dziecka, a nie tylko ogierem rozplodowym.

- No właśnie. - Liz spojrzała ukradkiem na Allison.

- Dlatego uważam, że najlepszym rozwiązaniem będzie bank spermy.

- Nie! - zawołali jednocześnie Quentin i Allison.

- Musi być jakieś inne wyjście - warknął zirytowany Quentin.

- Inne wyjście z czego? - zapytał Matthew, średni z braci Whittaker, który właśnie wszedł do pokoju.

Odpowiedziała mu grobowa cisza. Matthew spojrzął na skrzywionego Quentina, na podnieconą Allison, a w końcu na Liz.

- Hej, nie gadajcie wszyscy naraz - zakpił.

- Lizzie ma pewien problem - odezwała się Allison.

- Naprawdę? Co za problem?

- No właśnie. Jaki problem? - W progu stanął Noah, najmłodszy z braci. Puścił oko do Liz. - Cześć, śliczna.

- Lizzie musi szybko zająć w ciążę, bo inaczej nigdy nie będzie miała dzieci.

- Allison - powiedziała z wyrzutem Liz.

- Cholera! - Matthew spojrzął współczująco na Liz.

- Masz jakiś pomysł?

- Mam - odezwała się prędko Liz, byleby tylko uprzedzić Allison. - Skoro już cała rodzina Whittakerów musi się o tym dowiedzieć, to szukam porządnego banku spermy.

- Chcesz sama wychować dziecko - domyślił się Matthew.

- Tak. - Liz odetchnęła z ulgą. Wreszcie znalazła sprzymierzeńca.

- Moje gratulacje!

- Będziesz fajną mamusią - dodał Noah.

Allison popatrzyła na braci z wyrzutem.

- O co chodzi? - Matthew wyraźnie się zmieszał.

- Zła odpowiedź - prychnęła Allison.

- Dobrze, że chociaż w tej sprawie jesteśmy zgodni - dodał Quentin.

- Przecież byłoby lepiej, gdyby Lizzie wybrała sobie kogoś znajomego - tłumaczyła Allison. - Na przykład któregoś z przyjaciół rodziny.

Matthew przez chwilę przyglądał się siostrze, po czym oparł się o framugę i założył ręce, jakby rozważał jej słowa.

- Moim zdaniem to całkiem niezły pomysł.

- Racja - poparł go Quentin. - Ale ja mam jeszcze lepszy. Można wykorzystać do tego męża.

- Liz nie ma męża, Quent - przypomniał mu Noah.

- No to niech sobie znajdzie i to migiem.

- No, no - Matthew pokręcił głową. - Ależ ty jesteś zacofany ! Nawet nie wiesz, że dzisiejsze kobiety są bardzo wybredne.

Ale Quentin nie miał nastroju do żartów.

- Jeśli ty też chcesz się wtrącić, Matt - powiedział lodowatym tonem - to lepiej zrób to od razu.

Matthew popatrzył po wszystkich obecnych i dopiero potem się odezwał.

- Uważam, że to oczywiste. Lizzie potrzebny jest przyjaciel, a ja jestem bezspornie najlepszym kandydatem. -Puścił oko do Liz. - Kochanie, jestem do twojej dyspozycji, ale pod warunkiem, że potem nie będę musiał zmieniać pieluch.

Quentin niezwykle szybko doszedł do siebie. To była jego specjalność. Był gwiazdą hokeja od podstawówki po Harvard, co w znacznej mierze zawdzięczał swemu szybkiemu refleksowi. Dzięki niemu był też rewelacyjnym przeciwnikiem podczas negocjacji. Zawsze czujny i gotowy.

- Oszalałeś? - wrzasnął na brata.

- Nic podobnego - odparł Matthew. - A ty? - Noah z trudem powstrzymał się od śmiechu.

- Nie możesz zostać ojcem dziecka Elizabeth!

- Kiedy ostatnio sprawdzałem, wszystko było w najlepszym porządku.

Quentin zacisnął pięści. Już nie pamiętał, kiedy ostatnio miał ochotę przeformatować bratu twarz.

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi - syknął.

- Nie rozumiem, czemu się denerwujesz Quent - wtrąciła się Allison. - Skoro sam nie jesteś zainteresowany...

Liz uznała, że musi się odezwać.

- Dziękuję wam wszystkim za - zawahała się, gdy jej oczy napotkały spojrzenie Quentina - wsparcie. A tobie dziękuję za propozycję - zwróciła się do Matta. — Zawsze traktowałam cię jak brata i chyba nie warto teraz wszystkiego psuć. Nie komplikujmy sobie życia, zgoda?

- Zgoda. - Matt uśmiechnął się i popatrzył na nią z uznaniem. - Ale gdybyś kiedyś zmieniła zdanie...

- Dziękuję - powiedziała cicho.

Quentin się skrzywił. Nie rozumiał, dlaczego ona nigdy na niego tak czule nie spoglądała. Przecież znali się co najmniej dziesięć lat.

Może to moja wina, pomyślał.

Wściekł się jak diabli, kiedy po raz pierwszy sobie uświadomił, że Liz go pociąga. Miała wówczas zaledwie osiemnaście lat i według standardów Quentina była jeszcze dzieckiem. Oczywiście to było bardzo dawno, zanim jeszcze Vanessa go nauczyła, że nie należy ufać kobietom.

Skrzywił się na wspomnienie byłej narzeczonej, która dała mu ważną lekcję życia. To dzięki niej zrozumiał, że dla samotnej kobiety jest przede wszystkim wielkim garnkiem złota z umieszczoną na wierzchu ślubną obrączką. Niestety, jego brat jeszcze nie dorósł do tej mądrości. Biedak myślał pewnie, że kobiety uganiają się za nim ze względu na jego urok osobisty.

- Elizabeth nie zmieni zdania - oświadczył. - Znajdzie jakieś wyjście.

- Na pewno - powiedziała Elizabeth sztywno. - Wybaczcie, proszę - dodała i wyszła z pokoju.

Na mocy milczącego porozumienia Quentin i Elizabeth przez resztę dnia starannie się unikali. Quentin musiał przyznać, że mimo wszystko dobrze się trzymała. Podziwiała robótki pani Cassidy, huśtała na huśtawce pięcioletnią córeczkę sąsiadów i uwolniła Noaha od konieczności zabawy w kotka i myszkę z ich synkiem. I zarumieniła się z dumy, kiedy jej szarlotki dostały pierwszą nagrodę.

Na niego nie zwracała uwagi. Nie miał pojęcia, dlaczego ten pomysł z bankiem spermy tak bardzo go rozżłościł. Może dlatego, że się poczuł, jak chyba wszyscy mężczyźni w podobnej sytuacji, całkiem bezużyteczny. Ale na pewno nie miało to żadnego związku z jego własnymi uczuciami. Oczywiście prócz tego, że Elizabeth od lat prawie należała do rodziny i wszyscy ją uwielbiali. Nie wyłączając Quentina.

Najlepsze co mógł zrobić w tej sytuacji, to się nie angażować, a jedynym sposobem na brak zaangażowania było unikanie Elizabeth. Żałował, że będzie musiał pracować razem z nią przy budowie planowanego żłobka.

ROZDZIAŁ DRUGI

Quentin uważał, że jego gabinet jest ogromny, ale teraz miał wrażenie, że stał się mały jak schowek na szczotki. Elizabeth przyszła na rozmowę o urzędzeniu żłobka. Nie mógł od niej oderwać oczu. Klasyczna niebieska garsonka przylegająca do zgrabnego ciała, skrzyżowane zgrabne nogi w czarnych pantoflach, notes i długopis w dłoni.

Był zadowolony, że nawet słowem nie wspomniała o sobotniej awanturze. Jakimś cudem udało im się wrócić do zwykłych grzecznych, lecz chłodnych stosunków.

- Czy mogłabym obejrzeć pomieszczenia przeznaczone na żłobek? - spytała Liz.

- Oczywiście. - Quentin wstał. Mógłby przysiąc, że się przeraziła.

- Ty chcesz mnie oprowadzić?

- Miałem taki zamiar, ale jeśli to problem...

- Nie, nie, absolutnie - zaprzeczyła pospiesznie. Schowała notes i długopis do skórzanej torby. - Chodziło mi o to, że pewnie jesteś bardzo zajęty i wolałbyś zlecić tę błahostkę któremuś ze swoich podwładnych.

- To nie żadna błahostka. Żłobek jest dla nas ważny. Spojrzała na niego, ale nim zdążył zrozumieć znaczenie tego spojrzenia, wyszła z gabinetu.

- Jak długo jesteś na swoim? - zapytał trochę z ciekawości, a trochę po to, żeby przerwać milczenie. - Pamiętam, że kiedyś pracowałeś w jednym z tych dużych bostońskich biur projektowych.

- Dwa, trzy lata.

- Nie układało ci się w Bostonie? - zapytał i od razu złążał się w myśli za negatywną ocenę zawartą w tym pytaniu, ale Liz się nie obraziła.

- Układało, nawet bardzo dobrze - odparła. - Ale zawsze chciałam mieć własną firmę.

To mógł zrozumieć. Poświęcił kilka lat na rozwój i powiększenie kapitału Whittaker Enterprises. Trochę go zdziwiło, że kiedy on się zajmował pracą i rzadko widywał Elizabeth, ona także parła do przodu.

Winda zatrzymała się na parterze, poszli korytarzem do drugiego skrzydła budynku. Pomieszczenie przeznaczone na żłobek było ogromne. Wielkie, zajmujące całą ścianę i wychodzące na trawnik okna wpuszczały mnóstwo światła.

- Fantastyczne! - Elizabeth była mile zaskoczona.

- Cieszę się, że ci się podoba. - Quentin przyglądał się, jak Elizabeth z gracją przechadza się po sali.

- W jednym z tych wielkich okien można zrobić drzwi, a na trawniku urządzić plac zabaw. Oczywiście ogrodzony - mówiła rozradowana. - Myślisz, że się uda?

- Chyba nie będzie problemu z oddaniem dzieciom kawałka trawnika.

- W ten sposób stworzymy dzieciom bezpośrednie wyjście ewakuacyjne. Na wszelki wypadek.

- Świetny pomysł.

- I trzeba gdzieś ustawić szafki.

- A po co?

- Żeby rodzice mieli gdzie zostawiać rzeczy dla dzieci - tłumaczyła Elizabeth. - Pieluchy, śliniaczki, jakieś ubranko na zmianę...

- No tak.

Gdyby mu powiedziała, że potrzebne są skafandry kosmiczne i przynajmniej jedna rakieta, też by jej uwierzył na słowo. Fascynowała go ta piękna, pełna życia kobieta.

- .. .kuchnię? - dokończyła Elizabeth.

- Słucham?

- Mówiłam, że trzeba będzie urządzić kuchenkę. I toalety.

- Oczywiście - zgodził się pospiesznie. - Nie można pozwolić, żeby dzieci musiały czekać w jednej kolejce z członkami zarządu.

- No właśnie - uśmiechnęła się. - Widzę, że jednak trochę się orientujesz.

- Ciii - położył palec na ustach. - Nie mów nikomu.

Roześmiała się, popatrzyła na niego. Oczy miała wesole, włosy lśniły w promieniach słońca. Była prześliczna. Lata, w ciągu których jej nie zauważał, okazały się dla niej bardzo łaskawe.

Nie mógł uwierzyć, że grozi jej bezpłodność. Była żywym symbolem macierzyństwa. Jej bujne, zmysłowe kształty, pełne piersi... Tylko niepotrzebnie chowała piękne kasztanowe włosy w ciasnym koczku. Quentin był ciekaw, co by zrobiła, gdyby ją poprosił, żeby rozpuściła włosy. Na samą myśl o tym krew w nim zawrzała.

Podeszła do niego.

- Czy to wszystko? - spytał, starając się nadać głosowi obojętne brzmienie, choć był bardzo spięty i podniecony jej bliskością.

- Tak! - Jej odpowiedź zamieniła się w wykrzyknik, gdyż w tym momencie potknęła się. Odruchowo wyciągnął ręce, żeby ją przytrzymać. Teraz miał ją tuż obok siebie. Niemal jęknął, kiedy poczuł na sobie ucisk jej miękkich piersi.

Podniosła głowę, spojrzała na niego zarumieniona, wyraźnie zakłopotana.

- Chyba zaczepiłam o coś obcasem.

Zmusił się, żeby nie patrzeć na nią, tylko na podłogę.

- Dziura - oznajmił. - Trzeba będzie wymienić podłogę.

- A ja muszę bardziej uważać - uśmiechnęła się - bo inaczej mnie też trzeba będzie coś wymienić.

Ta nieśmiała próba rozładowania napięcia spaliła na panewce. Oczy Liz stały się wielkie, usta się rozchyliły. Quentin nie mógł oderwać od nich oczu. Pełne, wilgotne, stworzone do całowania. Pochylił się.

Dostrzegł w jej oczach przestrach. Pospiesznie oparła się dłońmi o jego tors.

- Za tydzień, najdalej za dwa, zrobię kilka projektów - powiedziała nieco zdyszana.

Natychmiast wrócił do równowagi. Puścił Liz, cofnął się o krok.

- Dobrze.

- Zadzwoń - poprawiła pasek torebki, który zsunął się z ramienia - jak plany będą gotowe.

Uciekła.

Quentin patrzył, jak odchodzi, i klął pod nosem. Nie miał pojęcia, co w niego wstąpiło.

Byłbym ją pocałował i to w biały dzień, w biurowcu własnej korporacji ! Oszalałem czy co? Długo się nie widzieliśmy przed ostatnim weekendem u rodziców, ale przecież znamy się od wieków. No dobrze, pierwszy raz padła mi w ramiona i to dosłownie, ale ja nigdy nie wykorzystuję takich okazji. Elizabeth ma dość problemów. Naprawdę nie potrzebuje do szczęścia lubieżnego pracodawcy.

Jeszcze po południu, podczas lunchu z Noahem, wciąż myślał o tym, co omal się nie wydarzyło.

- Jak ci poszło rano? - zapytał Noah, sięgając po koszyk z pieczywem.

- W porządku - odparł Quentin, nie podnosząc wzroku znad dokumentów, które przysłał mu jeden z departamentów. - Niestety, ja nie mam czasu zajmować się takimi drobiazgami, toteż od tej pory sprawa żłobka wchodzi w zakres twoich obowiązków.

- Niezła cizia, co?

- Elizabeth wkrótce dostanie kontrakt. - Nawet nie próbował udawać, że nie rozumie. - Będzie naszym pracownikiem.

- Daj spokój, Quentin. Nie wmawiaj mi, że nie zauważyłeś tych wielkich zielonych oczu i...

- Masz trzymać ręce przy sobie. I całą resztę też -warknął na brata i zaraz przypomniał sobie, że on sam nie mógłby świecić przykładem w tej materii.

- Dobrze, dobrze. Ty tu jesteś szefem - Noah uśmiechnął się po swojemu.

- Słusznie. Dobrze by było, żebyś o tym pamiętał dłużej niż przez piętnaście sekund.

Po porannym spotkaniu z Elizabeth Quentin doszedł do wniosku, że bezpieczniej będzie przekazać komuś innemu nadzór nad urządzaniem żłobka. Zatrudnienie innej firmy nie wchodziło w grę. Allison by mu tego nie darowała. Dlatego postanowił przekazać to zadanie Noahowi, choć w tej chwili prawie żałował swojej decyzji.

- Wiesz, że żartowałem - tłumaczył się Noah. - Allison wytłumaczyła mi, na czym polega problem Liz. Co za pech!

- Oczywiście Allison od razu wpadła na rewelacyjny pomysł. - Quentin znał brata na tyle dobrze, że nie musiał zgadywać, co mu chodzi po głowie. - Chce, żebyśmy założyli Rodzinny Bank Spermę Whittakerów.

- Fajny pomysł. - Noah, uśmiechając się, nalał sobie wody z dzbanka. - Ale chyba zaczęła od niewłaściwego brata.

- Ty też? - najeżył się Quentin.

- Stanowczo za długo żyjesz przyzwicie. - Noah wzruszył ramionami. - Twoje szalone pomysły nie wykraczają poza nowy krawat w szerokie paski.

- Niech ci będzie - zgodził się Quentin. - Możesz mnie nazywać sztywniakiem, czy jak tam teraz mówią na nefajnych facetów.

- Posłuchaj, ja tylko chciałem powiedzieć, że oddanie spermy to wcale nie jest taki idiotyczny pomysł. Znamy Liz od lat. Pomoc...

- Na litość boską, mówisz o tym tak, jakby chodziło o naprawienie ciekącego kranu.

- No tak, to rzeczywiście nie to samo. Ale przecież nikt nie powiedział, że ty masz to zrobić.

- Matt...

- On nic nie mówił. Prócz tych głupot, które wygadywał w sobotę. Ale potem już nie wracał do tematu. Chyba że o czymś nie wiem.

Quentin poczuł, jak schodzi z niego napięcie. A przecież jeszcze przed chwilą nawet nie zauważył, że coś mu dolega.

- Powinieneś był się nią zająć, kiedy była młodsza. Mógłbym przysiąc, że się w tobie kochała.

Quentin spojrzał na brata spode łba, ale Noah ani trochę się nie przejął.

- Chociaż nie mam pojęcia, dlaczego akurat w tobie - ciągnął. - W końcu w domu były jeszcze dwa inne egzemplarze. Lepsze. Nigdy nie zrozumieję kobiet!

- Wtedy była jeszcze dzieckiem.

- Ale już nie jest.

- Jest pracownikiem.

- Fakt, ale to nie będzie trwało wiecznie. A ty coś dziwnie emocjonalnie podchodzisz do tego sztucznego zapłodnienia Lizzie.

- Ja po prostu nie chcę, żeby zrobiła coś, czego potem będzie żałować. Może jestem staroświecki, ale uważam, że najlepsze są naturalne metody poczęcia.

- Pomysł Allison wcale nie jest taki bardzo zwariowany. - Noah wzruszył ramionami.

- Mama ciągle cię nagabuje o małego Whittakera.

- A ten znowu swoje! - westchnął Quentin.

- Już nie będę - obiecał Noah. - Ale radzę ci namówić Liz, żebyście zrobili to po staremu. Nie będziesz musiał jej dawać spermy.

Quentin omal się nie zakrztusił przetykaną właśnie herbatą.

- Namawiasz mnie, żebym uwiódł przyjaciółkę młodszej siostry? - wydyszał ze zgrozą, kiedy trochę doszedł do siebie.

- Nie rozumiem, co w tym złego - zdziwił się Noah. Quentin musiał przyznać, że on sam też nie bardzo rozumiał.

Choć bardzo się starała, nie mogła się skoncentrować na pracy. Nie umiała zapomnieć o tym, co się zdarzyło rano.

Quentin omal jej nie pocałował! A ona, jak jakiś tchórz, podkuliła ogon pod siebie i związała. Byle dalej!

Westchnęła. Tyle lat marzyła o tej chwili, wyobrażała ją sobie przed zaśnięciem, a kiedy marzenie wreszcie się spełniło, nie potrafiła skorzystać z okazji i wszystko popsukała.

Dreszcz przeszedł jej po plecach, oprzytomniała. Nie wiedziała, skąd jej się wzięły te głupie myśli. Przecież już dawno dała sobie spokój z Quentinem. Na pewno nic dobrego nie przyjdzie z otwierania zamkniętych dawno temu drzwi. Zwłaszcza teraz, kiedy dla niego pracuje.

Liz spojrzała na leżącą na biurku stertę broszur. Wszystkie z bostońskich klinik płodności.

Wprawdzie nie była już tak wystraszona, jak tuż po wysłuchaniu diagnozy, ale straciła też całą początkową odwagę. Nie miała pojęcia, jak sobie poradzi sama z tym całym kramem. Raczkująca firma, małe dziecko i raty za ten wspaniały wiktoriański dom, w który trzeba było jeszcze włożyć mnóstwo pracy. No i oczywiście trzeba będzie zapłacić za sztuczne zapłodnienie.

Liz dostała w spadku po ciotce niewielki kapitał, ale zamierzała go zatrzymać na czarną godzinę. Teraz trzeba będzie przeznaczyć te pieniądze na opłacenie banku spermy.

Dzwonek telefonu przerwał niewesołe rozmyślania.

- Cześć, śliczna, mówi twój książę.

- Witaj, książę - uśmiechnęła się. - Jak się masz?

- Staram się, jak mogę, żeby dobrze wypaść w roli kompetentnego zastępcy Quentina. - Noah wydał z siebie dramatyczne westchnienie. - Muszę przełożyć nasze poniedziałkowe spotkanie. Co byś powiedziała, gdybym zaprosił cię jutro na kolację?

- W piątkowy wieczór? - Liz nie mogła się oprzeć pokusie zażartowania z niego. - Naprawdę nie masz nic lepszego do roboty?

- Owszem, mam, skarbie, mam. - Noah wpadł w uwodzicielski ton. - Planuję zabrać piękną zielonooką dziewczynę do najlepszej francuskiej restauracji w całym Bostonie.

Liz zawsze świetnie się dogadywała z Noahem. Była mu wdzięczna za to, że chciał ją wyciągnąć z domu. Pewnie miał nadzieję choć trochę poprawić jej humor, bo zaplanowane na poniedziałek spotkanie nie było aż takie ważne, żeby nie mogło poczekać do jego powrotu.

- Skąd wiesz, że lubię kuchnię francuską? - spytała.

- Od tajnego informatora - roześmiał się. - Przyjadę po ciebie o dziewiątej.

Ledwie mu otworzyła drzwi, od razu ją rozśmieszył.

- Uspokój się, biedne serce - deklamował, przyciskając dłoń do piersi. - Oto spełnienie moich marzeń!

- Ty błażnie! - Liz śmiała się do rozpuku. Była w siódmym niebie.

Szef sali w Beauchamp powitał Noaha jak dobrego znajomego. Widocznie często bywał w tej eleganckiej restauracji. Dano im najlepszy stolik, obok okna z widokiem na Charles River.

- Mam rozkaz omówić z tobą warunki kontraktu. - Noah puścił do niej oko. - Zostawmy sobie jednak te nudy na po kolacji.

- Wiedziałam, że zastosujesz tę metodę - zażartowała Liz. - Nakarmisz mnie i upijesz, żebym była łatwiejsza.

- No wiesz! - Noah zrobił obrażoną minę. - Jak możesz mnie posądzać o taką podłość?

- Ja tylko cię uprzedzam - powiedziała ze śmiechem. - Nie chcę, żebyś marnował swój cenny czas.

- Kolacja w towarzystwie pięknej kobiety nie może być stratą czasu - zapewnił ją Noah z komiczną powagą.

Roześmiała się, ale zamarła, bo w drugim końcu sali ujrzała Quentina w towarzystwie Allison.

Noah podążył wzrokiem w ślad za spojrzeniem Liz. Allison szła wprost do ich stolika. Za nią kroczył szef sali, a na końcu włókł się Quentin, posępny jak chmura gradowa.

- Co za miła niespodzianka! - zawołała Allison. - Prawda? - zwróciła się do Quentina.

- Owszem - odparł sucho.

- Możemy się przysiąść? - spytała Allison.

- Oczywiście - odparła Liz. Poczła lekkie drżenie, jak zwykle, kiedy Quentin znajdował się w pobliżu.

- Ja się nie zgadzam! - protestował Noah. Liz spojrzała na niego zdumiona. - To moja randka. Spadajcie.

Allison roześmiała się i trzepnęła brata w ramię, a Liz się zarumieniła. Panicznie się bała, co Quentin sobie o niej pomyśli.

Przesadzono ich do większego stolika. Quentin usiadł naprzeciw Elizabeth, która czytała menu z takim zainteresowaniem, jakby to była kluczowa scena trzymającego w napięciu kryminału. Czują się bardzo nieswojo.

Quentin wpatrywał się w dekolt koktajlowej sukni Elizabeth. Ręce go świerzbiły, tak bardzo chciał dotknąć jej pełnych piersi.

Czy ja oszalałem, warknął na siebie i zaraz skierował myśli na właściwe tory. Niezły numer z tej naszej Elizabeth, komentował w duchu. Jest szybka jak błyskawica. Tydzień temu chciała mieć mnie, a jak nic z tego nie wyszło, zabrała się za Noaha.

Zawsze ze sobą flirtowali. Pewnie dlatego od razu odrzuciła propozycję Matta. Od początku wiedziała, kogo weźmie na cel. Ten pomysł z bankiem spermy to była tylko zasłona dymna. Chyba że w końcu ją przekonałem i rzeczywiście zaczęła sobie szukać męża. Tylko że mnie nie chodziło o Noaha. On ma słabość do pięknych kobiet. Doskonale nadawał się na jelenia.

- Jak myślisz, Quentin?

- Słucham?

Allison patrzyła na niego rozbawiona, jakby umiała czytać w myślach.

- Proponuję, żebyśmy zamówili chardonnay. To wasza wspólna słabość: twoja i Liz.

- Naprawdę? - zdziwił się Quentin. - Nie wiedziałem. Wobec tego weźmiemy chardonnay.

Podczas obiadu Noah zadał jej kilka nieistotnych pytań o szczegóły związane z urządzaniem żłobka, ale Quentin ani razu nie wtrącił się do rozmowy.

- Jak tam twój tata? - Allison prędko zmieniła temat. - Jeszcze mu nie zbrzydło łowienie ryb na Florydzie?

- Ani trochę - odparła Liz. - Klimat Florydy bardzo mu służy.

- Klimat i wesołe wdówki - dogadywał Noah. Allison roześmiała się i nawet Quentinowi drgnęły usta.

- Na pewno nie. - Liz uśmiechnęła się, że się na nich złości. Tak naprawdę uważała jednak, że ojciec stanowczo za długo jest sam. Bardzo by się cieszyła, gdyby rzeczywiście poznał kogoś na Florydzie. - Wolałby pocałować rybę niż obcą kobietę.

- Ciekawe, co robił w Dniu Pamięci - powiedziała Allison. - Idę o zakład, że popłynął na ryby.

- Na pewno byś wygrała - roześmiała się Liz. - Miał w planach jakiś rejs, ale nie wiem, jak mu poszło, bo jeszcze z nim nie rozmawiałam.

Poczuwszy na sobie trzy pary ciekawych oczu pożałowała, że w porę nie ugryzła się w język. Niemal otwarcie się przyznała, że nie miała odwagi powiedzieć ojcu o fatalnej diagnozie.

Resztę wieczoru pamiętała jak przez mgłę. Rozmawiali o głośnych sprawach sądowych, którymi zajmowała się kancelaria Allison. Noah i Quentin zastanawiali się, jak najskuteczniej wypromować najnowsze oprogramowanie. Kiedy wyszli z restauracji, Allison zaproponowała:

- Ja pojedę z Noahem. Mieszka w centrum, tuż obok mnie. Ty, Quent, wracasz do Carlyle, prawda? - zwróciła się do brata. - Mógłbyś podrzucić Liz.

Elizabeth sądziła, że Quentin zaprotestuje, ale on się zgodził i to bez wahania.

Noah pocałował ją w policzek.

- Odezwę się do ciebie po powrocie, moja śliczna - powiedział, a potem zwrócił się do brata: - Na pewno mogę ci powierzyć moją piękną panią?

Quentin popatrzył na niego. Gdyby spojrzenie mogło zabijać, Noah byłby trupem. Nie mogło, więc tylko się roześmiał.

Liz została sama z Quentinem.

- Zapnij pas - powiedział, gdy wsiedli do czarnego BMW, którym ostatnio jeździł.

Poza tymi dwoma słowami nic więcej nie powiedział. W aucie panowała grobowa cisza. Jak cisza przed burzą, pomyślała Liz. Wjechali do Carlyle. Liz pokazała Quentinowi drogę do swojego domu. Zatrzymał samochód na podjeździe, pomógł jej wysiąść i odprowadził do drzwi.

Chwilę trwało, nim znalazła w torebce klucze.

- No cóż - zaczęła - dziękuję za miły...

- Zaproś mnie do siebie.

To nie była prośba, tylko żądanie. Liz skinęła głową i Quentin wszedł za nią do domu. Zamknął drzwi, zaryglował.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dom pasował do Elizabeth. Parter, a przynajmniej jego część frontowa, służył jej za gabinet. Pokój zdobyły wiktoriańskie meble z brokatowymi obiciami. Na małym stoliku w rogu pokoju siedziały podstarzałe pluszowe misie, w drugim rogu stał mahoniowy bujany fotel okryty kapą. Wszystko tu było bardzo kobiece, tak jak Elizabeth.

- Czego się napijesz? - spytała. - Kawy czy herbaty? - Niczego. Chcę tylko ciebie, pomyślał.

Nie rozumiał, skąd mu się wzięła ta myśl. Przecież wszedł tu tylko po to, żeby wytłumaczyć Elizabeth, dlaczego ma zostawić w spokoju Noaha.

- Zagiętaś parol na mojego brata - stwierdził oskarżycielskim tonem.

- Nic podobnego - odparła. Głos miała spokojny, ale zdradził ją rumieniec. - Spotkaliśmy się, żeby pogadać o interesach.

- Zostaw Noaha w spokoju. - Quentin podszedł do niej całkiem blisko. - On się nie nadaje na tatusia.

Liz chciała się cofnąć, ale ją przytrzymał.

- Tydzień temu próbowałaś się dobrać do mnie.

- Zwariowałaś? - prychnęła, próbując się uwolnić.

- Co się zmieniło przez ten tydzień Elizabeth? - nie ustępował Quentin. - Czyżbym już wyszedł z mody?

Pachniała lawendą, była delikatna jak polny kwiatek. Kiedy się poruszała, jej piersi ocierały się o tors Quentina. Byłaby przerażona, gdyby się dowiedziała, jak bardzo go podnieca.

- A gdybym powiedział, że zmieniłem zdanie?

- Pierwsze słowo się liczy.

- Postępujesz nierozważnie, Elizabeth. Jestem znacznie lepszą partią niż Noah.

- Ty... - słów jej zabrakło.

- Chciałbym zawrzeć z tobą pewien układ, ale najpierw muszę coś sprawdzić.

Tylko jeden pocałunek, obiecał sobie, pochylając się nad nią.

- Powiedziałeś Noahowi, że może ci zaufać - przypomniała, a jej serce trzepotało jak ptaszek w klatce.

- Nie pamiętam. Zresztą jeden pocałunek chyba nie stanowi problemu.

Próbowała wymyślić powód, dla którego jeden pocałunek mógłby mimo wszystko stanowić poważny problem, ale nic nie wymyśliła. Mózg przestał funkcjonować.

Jego usta były gładkie i miękkie. Całował ją ostrożnie, obserwując, jakie wywiera wrażenie.

Ileż to razy wyobrażała sobie, że całuje Quentina. Że on ją całuje. Zastanawiała się, jak by to było, jak by im było razem. Ale teraz nie chciała myśleć, nie chciała się zastanawiać, chciała tylko odczuwać i cieszyć się chwilą. Objęła go za szyję i całowała z zapałem, który - zdawało się - wyczerpał się wiele lat temu. To było o wiele wspanialsze od wszystkiego, co kiedyś sobie wyobrażała.

Quentin zawahał się, jakby go zdziwiła namiętność

Elizabeth, a potem mruknął z ukontentowaniem i przytulił ją mocniej do siebie.

Była tak zajęta pocałunkiem, że dobrą chwilę trwało, zanim dotarło do niej, że dzwoni telefon. Właściwie dopiero wtedy, kiedy Quentin ją puścił.

Rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu torebki. Znalazła ją na fotelu, wyjęła telefon komórkowy.

- Ha... halo? - Przeklęła w duchu swój drżący głos.

- Cześć, Lizzie - odezwała się Allison. - Chyba zostawiłam sweter na tylnym siedzeniu samochodu Quentina. Możesz sprawdzić?

A niech to! I co ja mam jej powiedzieć?

- Poczekaj. - Zakryła mikrofon i spojrzała na Quentina. Wbił ręce w kieszenie, minę miał nieszczerólną. - Ally zostawiła sweter w samochodzie. Wiesz coś o tym?

Quentin coś mruknął, ale nie rozumiała ani słowa.

- Zadzwoń do niej za chwilę - powiedział, ruszając do drzwi. - A my dokończymy tę rozmowę innym razem.

- Ally - powiedziała Liz do telefonu.
- Nie ma? Przysięgłabym...
- Quentin powiedział, że zaraz do ciebie zadzwoni. Poszedł poszukać.
- Co takiego? - zapytała zdumiona Allison. - Gdzie wy jesteście?
- W domu. Ja jestem w domu. Quentin właśnie wyszedł.

Zapadła cisza. Po chwili Allison powiedziała:

- Potem do ciebie zadzwonię. Dobranoc, Lizzie.

Liz opadła na fotel. Nie ma mowy, żeby kończyli to, co się tu zaczęło. Dzięki Bogu, że Allison zadzwoniła!

Zdaje się, że ten przeklęty facet, który przez jedenaście lat traktował ją jak niezdolnego bachora, nareszcie dostrzegł w niej kobietę. Ale dlaczego akurat teraz, kiedy przechodziła największy kryzys w swoim życiu?

Na pewno nie był nią poważnie zainteresowany. Chciał ją tylko odciągnąć od Noaha. No, może był ciekaw, czy coś poczuje, ale na pewno nic poza tym.

Zagryzła wargi. Zrezygnowałaby z kontraktu, gdyby naprawdę nie potrzebowała pieniędzy. Zwłaszcza teraz, kiedy być może trzeba będzie wziąć urlop macierzyński i na jakiś czas zamknąć Precious Bundles. Chociaż z drugiej strony, kontakty z Quentinem to jak igranie z trzaskającym ogniem.

W tej sytuacji mogła zrobić tylko jedno: unikać go. We wtorek miała wizytę w renomowanej klinice, która prowadziła także bank spermy.

Im szybciej zajdę w ciążę, tym prędzej Quentin się zorientuje, jak śmieszne były jego podejrzenia, pomyślała. Przekona się, że nie zamierzam uwieść ani Matta, ani Noaha, i nareszcie da mi święty spokój.

BookSmart organizowało w sali balowej Stoneridge Hotel doroczny bal połączony ze zbiórką funduszy na naukę czytania dorosłych.

Quentin bezskutecznie starał się skupić uwagę na rozmowie. Znowu poszukał wzrokiem kobiety na drugim końcu sali. Właściwie nie powinno go dziwić, że

Elizabeth Donovan poświęca czas na zwalczanie analfabetyzmu. Zdawało się, że cała lśni w zielonej satynowej sukni na cienkich ramiączkach. Jakby i bez tego nie błyszczała.

Długie kręcone włosy także lśniły, gdy nachylała się do Erica Lazarusa.

Lazarus! Był tego samego wzrostu co Quentin i miał tyle samo lat, ale na tym się kończyło ich podobieństwo. Nikt nie zasługiwał na miano kobieciarza i playboya bardziej niż Lazarus - podejrzany makler giełdowy. Służby federalne i Komisja Giełdowa co jakiś czas węszyły wokół niego. Nigdy niczego nie znaleziono, choć powszechnie było wiadomo, że Lazarus balansuje na granicy prawa.

W holu, gdzie stali goście, przygasły światła. Otwarto drzwi do wielkiej sali balowej z mnóstwem starannie nakrytych stołów.

Quentin podszedł do stolika, przy którym wyznaczono mu miejsce. Lazarus właśnie odsuwał krzesło dla Elizabeth.

- Witaj, Lazarusie - powiedział i niemal niedostrzegalnie skinął głową.

- Quentin! - powitał go Lazarus. Zdziwił się, ale nie dał tego po sobie poznać. - Cieszę się, że cię widzę.

- Nie wiedziałem, że ty też tu będziesz - zwrócił się do Elizabeth, siadając po jej lewej stronie. Lazarus już wcześniej zajął miejsce po prawej.

Spojrzała na niego całkiem obojętnie.

- Jest dużo wolnych miejsc - mruknęła, spoglądając znacząco na drugi koniec stołu i w ogóle na salę.

Quentin udał, że nie dostrzegł nietypowej dla niej niegrzeczności.

- Tutaj jest mi wygodnie.

Nie dziwił się, że się obraziła, choć sam nie miał sobie nic do zarzucenia. Zachował się całkiem racjonalnie, jak na człowieka, który już dostał przykrą lekcję i wiedział, że nigdy dość ostrożności w stosunkach z kobietami.

Oczywiście szczegółowo wypytał Noaha o piątkowy wieczór. Jego brat dobrze się bawił, ale wszystko dokładnie mu opowiedział, a przecież tylko o to chodziło. Dzięki temu Quentin dowiedział się, że inicjatorem spotkania był Noah, nie Elizabeth. Sam

jednak, mimo nalegań brata, nie powiedział, co się działo, kiedy odwiedził Elizabeth do domu. I tak źle się złożyło, że Allison wiedziała o jego wizycie u Elizabeth. Wolał im nie mówić, jak wstrętnie się zachował.

Przyszło mu do głowy, że powinien przeprosić Elizabeth. Wiedział, że nie będzie to łatwe, ponieważ ostentacyjnie zajmowała się wyłącznie Lazarusem, a na niego nie raczyła nawet popatrzeć.

- Nie, jeszcze nie byłem w tej nowej włoskiej restauracji - mówiła, wygładzając rozłożoną na kolanach serwetkę. - Podobno jest znakomita.

- Wobec tego muszę cię tam zabrać - powiedział Lazarus.

Quentin zaklął w duchu. Jeśli miał się wtrącić do rozmowy, to trudno było o lepszy moment.

- Jak tam interesy? - zapytał Lazarusa, jakby naprawdę go to obchodziło.

- Nigdy nie szło mi lepiej - odparł Lazarus z błyskiem w oku. - Właśnie dostałem zlecenie od niedużej firmy farmaceutycznej. Mówię ci, to prawdziwy skarb. Nie mogę nadążyć ze sprzedawaniem akcji. Rozumiesz, o co chodzi?

- Oczywiście - mruknął Quentin. Wyglądało na to, że ma do czynienia z jakąś wyjątkowo spekulacyjną inwestycją. Taki śliski typ jak Lazarus nie cofał się przed niczym. - Ciekawe.

Elizabeth dłubała widelcem w sałatce. Patrzyła w ożywionego Lazarusa jak w obraz.

- Ciekawe, to za mało powiedziane. - Lazarus zapalił się do tematu. - Mówimy o gigantycznym przełomie w leczeniu Alzheimer'a. Kiedy tylko FDA¹ wyda zezwolenie, to nasze cudencko podbije świat.

Sięgnął do kieszeni i wyjął wizytówkę.

- Wiesz, Quent, znamy się od lat - powiedział, wręczając ją Quentinowi. - Dlatego chcę, żebyś mógł dostać te akcje z pierwszej ręki.

Quentin schował wizytówkę do kieszeni. Zamierzał ją spalić.

¹ FDA - Urząd Kontroli Leków i Żywności (przyp. tłum.).

Nim podano główne danie, wiedział już, że Elizabeth będzie musiała w końcu z nim porozmawiać. Do ich stolika przysiadł się prezes BookSmart. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na usta Elizabeth wypłynął uprzejmy uśmiech. Nowy członek zarządu (bo Elizabeth niedawno została członkiem zarządu) nie mógł sobie pozwolić na niegrzeczność wobec jednego z najhojniejszych darczyńców.

Kątem oka zauważył, że najpierw się skrzywiła, ale zaraz uprzejmy uśmiech wypłynął na jej usta.

- Nie wiedziałam, że interesujesz się tak bardzo BookSmart - zwróciła się do Quentina, choć jeszcze przed chwilą udawała, że go tu nie ma.

- Filantropia to moje hobby - odparł, starając się ukryć rozbawienie. - Wypisuję czek z mnóstwem zer i gotowe. Potem inni - ruchem głowy wskazał siedzących przy stole tworzą za to biblioteki i kupują książki. A co ty robisz dla BookSmart, Elizabeth?

- Uczę angielskiego.

- Mam nadzieję, że nasz nowy członek zarządu upewni cię w przekonaniu, że robimy naprawdę dobrą robotę - wtrącił się Lloyd Manning, prezes BookSmart. - Chcielibyśmy, żebyś wiedział, jak bardzo cenimy sobie twoją pomoc i jak bardzo jej potrzebujemy.

Lazarus zaprosił Elizabeth do tańca. Quentin przyglądał się, jak się poruszają po parkiecie. Coraz dobitniej zdawał sobie sprawę, że Elizabeth nie jest już wstydliwą nastolatką, jaką była, kiedy się poznali.

Powrócił wspomnieniami do tamtego dnia i przypomniał sobie nieśmiałą dziewczynę o ujmującym uśmiechu, którą jego matka witała w holu ich rodzinnego domu. Jak się później okazało, była najlepszą przyjaciółką Allison.

- Liz, poznaj mojego brata, Quentina - powiedziała wówczas Allison. - Na chwilę przestał robić zamieszanie w Harvard Business School, żeby przez święta podręczyć młodszą siostrę. To jego ulubione zajęcie.

Wtedy to po raz pierwszy spojrzął w zielone oczy osadzone w bardzo pięknej twarzy. Elizabeth miała metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, nogi długie aż do nieba i już wtedy była po kobiecemu zaokrąglona. Na pewno złamała niejedno chłopięce serce.

Ta myśl przywróciła mu przytomność umysłu. Przecież to koleżanka młodszej siostry!

- Liz? - zapytał, zły na siebie. - Czy to jakieś zdrobnienie?

- Mam na imię Elizabeth - odparła. - Mój tata mówi do mnie Liz i tak już przylgnęło.

Okazało się, że jej głos też jest uwodzicielski.

- Miło było cię poznać, Elizabeth - powiedział i wyszedł z domu. Uznał, że pełna forma imienia stanowi lepszą ochronę przed jej urokiem, i uczeplił się tego jak liny ratunkowej.

Teraz przyglądał się, jak Elizabeth tańczy z Lazarusem. Od ich pierwszego spotkania minęło wiele lat, ale ona nadal była dla niego nieodpowiednia, dokładnie tak samo jak wtedy. Potrzebowała ojca dla swego dziecka, a on nie życzył sobie zobowiązań. Była pracownikiem Whittaker Enterprises, a on był szefem, który nie uznaje romansów w pracy. Była najlepszą przyjaciółką jego młodszej siostry!

Dłoń Lazarusa zsuwała się coraz niżej, coraz bliżej pośladka Elizabeth. Quentin nie wytrzymał, podniósł się z krzesła i podszedł do tańczącej pary.

Położył dłoń na ramieniu Lazarusa.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedział Quentin i zabrał Elizabeth, zanim jej partner zdążył do niej. - Później mi podziękujesz.

- Podziękuję? - Rumieniec wypląnął jej na policzki. - A niby za co miałabym ci dziękować?

- Obmacywał cię.

- A ty mnie uratowałeś? Pewnie sam chcesz mnie poobmacywać.

Roześmiał się.

- Odniosłem wrażenie, że ci się podobało.

- Pochlebiasz sobie - prychnęła.

- Lazarus to gadzina - powiedział, tym razem poważnie. - Nic bym od niego nie wziął, nawet gdyby dawał za darmo.

- No i co z tego? Jest przystojny...

- Tylko mi nie mów, że poważnie rozważasz tę kandydaturę.

- Niech ci będzie. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Nie powiem.

Drażnił go jej chłód, ale nie chciał się do tego przyznać.

- Posłuchaj, Elizabeth, nie wiem, jakie masz plany, ale Lazarus to kłopoty.

Westchnęła zrezygnowana.

- Jest tylko moim znajomym - przyznała. - Umówiłam się na wizytę w klinice, która dysponuje również bankiem nasienia.

Ta informacja powinna go uspokoić, ale wzmianka o banku spermy znów doprowadziła go do szału. Należało sprowadzić rozmowę na bezpieczniejsze tory, zresztą musiał ją w końcu przeprosić i równie dobrze mógł to zrobić teraz.

- Przepraszam za to, co powiedziałem w piątek - zaczął. - Noah wszystko mi wyjaśnił...

Nie zamierzał przeproszać za to, że ją pocałował. Zresztą, nawet gdyby to zrobił i tak zabrzmiałoby to fałszywie.

Elizabeth do tej pory patrzyła przed siebie ponad jego ramieniem, ale teraz spojrzała mu w oczy.

- Przyjmujesz moje przeprosiny? - dopytywał się zniecierpliwiony.

- Tak. - Skinęła głową i uśmiechnęła się ostrożnie. Poczuł, że mu ulżyło, i zaraz zaczął się zastanawiać, dlaczego właściwie to dla niego takie ważne.

- Zacznijmy od początku - poprosił.

Skinęła głową. A więc przyjęła jego propozycję, zgodziła się wyrzucić z pamięci wszystko, co dotąd się zdarzyło.

- Przepraszam, że niegrzecznie cię potraktowałam.

- Nic się nie stało. - Wzruszył ramionami. - Miałaś prawo być na mnie zła.

Potem już nie rozmawiali, taniec pochłonął ich bez reszty. Elizabeth doskonale się czuła w jego ramionach, z radością pozwalała się prowadzić po parkiecie.

Quentin cieszył się, że może ją obejmować, że ich ciała stykają się ze sobą podczas tańca. Była tak blisko, że czuł delikatny kwiatowy zapach jej perfum. Gdyby tylko chciał, mógłby musnąć wargami jej czoło.

- Dobrze tańczysz - pochwalił.

- Dziwisz się?

- Nie - odparł po chwili zastanowienia. - Stwierdziłem tylko fakt. Domyślałem się, że dobrze tańczysz. To do ciebie pasuje.

- Do mnie? To znaczy, do czego?

- Jesteś jak magnolie i śmietanka podana do popołudniowej herbaty na tarasie. Jak koronka i białe róże. Delikatna woń przypraw. Wiktoriańska dama w erze rock and rolla.

Głos Quentina upajał. Liz pomyślała, że musi bardzo uważać.

- Kto ci na mnie doniósł? - spytała żartobliwie. - Wiktoriański fotel na biegunach? A może meble z brokatową tapicerką?

- Bardzo pomogły - uśmiechnął się. - Twój dom wiele o tobie mówi.

Było jej gorąco. Nie miała pojęcia, jak się obchodzić z tym nowym Quentinem.

- Przeszali grać - powiedziała, korzystając z okazji. Quentin niechętnie puścił Elizabeth i odprowadził do stolika. Lazarus dręczył Lloyda Manninga. Elizabeth przeprosiła ich na chwilę, Quentin usiadł na swoim miejscu.

Myślał o Elizabeth. Wywoływała wzruszenie. Może dlatego wolał jej unikać? Wydoroślała, spoważniała, ale nie przestała go rozczulać. Jej ruchy, głos, śliczna buzia...

Pragnął jej. Dlatego tak ostro zareagował na wiadomość o banku nasienia. I dlatego warczał na swoich braci.

Tak, pomyślał, dokładnie o to chodzi. Dobrze chociaż, że wreszcie zrozumiałem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Był wtorek, późne popołudnie. Liz właśnie wróciła z kliniki. Skręciła na podjazd swego miłego domu i pierwsze, co zobaczyła, to czarne BMW.

Czyżby to był...?

Zanim zdążyła dokończyć myśl, zza rogu domu wyszedł Quentin.

Gwałtownie przypominała sobie szczegóły projektu żłobka. Zgodnie z harmonogramem dopiero za dwa dni miała przedstawić Noahowi szczegółowy plan inwestycji.

Jej oczy napotkały spojrzenie Quentina. Zatrzymał się na ułamek sekundy, po czym podszedł do samochodu, w którym wciąż jeszcze siedziała. Podał jej rękę, pomógł wysiąść z auta. Jak zwykle w takich momentach dreszcz przeszedł jej po plecach.

- Czekałem na ciebie.

- Domyśliłam się. - Postarała się, żeby jej głos brzmiał obojętnie. - Czym mogę ci służyć?

Ruszyła ku drzwiom, a Quentin podążył za nią.

- Allison prosiła, żebym wpadł po drodze odebrać od ciebie stroiki, które zrobiłaś na jutrzejsze przyjęcie.

Nazajutrz Allison wydawała przyjęcie dla kolegów z pracy. Liz zaprojektowała skromne stroiki, na które składały się świece otoczone kompozycjami z suszonych kwiatów.

- Myślałam, że Allison sama po nie przyjedzie.

- Niestety. - Quentin wszedł za nią do domu, poluzował krawat. - Rano okazało się, że musi jechać do sądu. Powiedziała, że będzie pracować do późna.

- Biedna Ally.

- Dlatego do mnie zadzwoniła. Wiedziała, że jestem w Carlyle i będę jechał do Bostonu. Poprosiła, żebym jej to przywiózł.

= Weszli do salonu i... w wielkim pokoju nagle zrobiło się bardzo ciasno. Liz zmusiła się, żeby nie myśleć o tym, co się stało, kiedy poprzednim razem gościła u siebie Quentina.

- Sprawdź, czy wszystko jest jak trzeba - powiedziała prędko.

- Gdzie byłaś? - spytał, gdy przeglądała leżące na biurku pudełka.

Zarumieniła się. Klęła w żywy kamień swoją irlandzką karnacją.

- Jeśli koniecznie musisz wiedzieć - powiedziała -a zdaje się, że ostatnio wszyscy wszystko o mnie wiedzą, to miałam wizytę w klinice płodności.

- Jak poszło?

- Nieźle.

- Myślisz, że ci się uda?

- Oczywiście. - Wyprostowała się i postąpiła mu promienny uśmiech. Trzymał ręce w kieszeniach, a z jego miny absolutnie nic się nie dało wyczytać.

Ruchem głowy wskazała pięć pudełek, które położyła na brzegu biurka.

- To są te pudełka - powiedziała. - Pomogę ci je włożyć do bagażnika.

- Dobrze. - Quentin postąpił krok w jej kierunku, a ona cofnęła się, choć tuż za nią stało biurko. Nie było cienia nadziei, że nie zauważył jej odruchowej reakcji.

- Zastanawiałaś się nad tym, co ci powiedziałem, Elizabeth? - spytał. Stał tak blisko, że musiała podnieść głowę, żeby na niego spojrzeć.

- O przekazaniu pieniędzy na rzecz BookSmart? - Pokręciła głową. - Nie zbieram pieniędzy osobiście. Skontaktuj się z biurem.

- Nie o to chodzi - powiedział z uśmiechem. - Nad tym, co powiedziałem, kiedy poprzednio tutaj byłem. Wiesz, co mam na myśli.

- Nie mam pojęcia.

- Kłamiesz.

- Będziemy sobie wymyślać?

- A nie lepiej pocałować się na zgodę?

Objął ją i delikatnie pocałował. Wiedziała, że nie powinna mu na to pozwolić, ale ta myśl jakoś prędko się zgubiła w wirze uczuć. Nigdy przedtem z żadnym mężczyzną nie doświadczyła takich ekscytujących doznań, a już na pewno nie podczas zwykłego pocałunku!

Quentin odsunął się od niej nagle, niemal odskoczył. Oddychał ciężko, patrzył na nią przenikliwie.

- Nie wmawiaj mi, że o tym nie myślałaś - wysapał. - Musiałaś przecież poczuć ten żar!

Przez chwilę patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc, dopiero potem wróciła do rzeczywistości. Pozbawiona ciepła jego ciała zadrżała, otuliła się własnymi ramionami.

Oczywiście, że myślała. Od lat. Wyobrażała sobie. Ale... Nie, to nie ma sensu!

- No i co z tego, że myślałam? - spytała, dumnie unosząc głowę. - To absolutnie nic nie znaczy. Każde z nas chce czego innego.

- Niezupełnie.

- Słucham?

- Zastanawiałem się nad tym, co powiedziałaś. - Przeczesał palcami włosy. - Wiesz, o tym, że musiałabyś prędko kogoś znaleźć i że to się nie uda i dlatego najlepszym wyjściem jest sztuczne zapłodnienie.

- Tak? - Słuchała uważnie.

- Powiedziałaś, że potrzebujesz minimum czterech spotkań i że miesiąc to najkrótszy możliwy okres, nim zdecydujesz się na małżeństwo. - Zrobił pauzę dla nabrania powietrza. - Mógłbym się zmieścić w tym przedziale czasowym.

- O czym ty mówisz? Nie rozumiem...

- Powiedzmy, że Allison trafiła w sedno.

- To chyba pierwszy raz. Nigdy dotąd nie zgadzałeś się z Allison.

Popatrzył na nią zaskoczony, potem skinął głową, a w końcu się uśmiechnął.

- Tylko nic jej nie mów, bo do końca życia nie da mi spokoju. - Ale zaraz spowaźniał.
- Chciałbym mieć dzieci. Ty też. Oboje gotowi jesteśmy zachować się nietypowo dla osiągnięcia tego celu.

- Ale...

- Wiem, co powiedziałem w Dniu Pamięci - nie dał jej dojść do głosu. - Chodziło mi o to, że nie zamierzam mieć dzieci tylko po to, żeby moja mama mogła zostać babcią. Nie tęsknię za dziećmi, ale jestem człowiekiem interesu. Byłbym idiotą, gdybym nie skorzystał z okazji.

Okazja, pomyślała Liz. A więc do tego zostałam zredukowana?

Iskierka nadziei zgasła błyskawicznie.

- Co to za okazja? - spytała wbrew własnej woli. Nienawidziła się za tę słabość.

- Zastanawiałaś się, jak sobie poradzisz, kiedy to dziecko zjawi się na świecie? - spytał. - Stawiasz pierwsze kroki na rynku, powinnaś poświęcić firmie całą uwagę. Już samo to jest pracą na pełnym etacie.

- Poradzę sobie. W końcu mamy dwudziesty pierwszy wiek.

- Kiedy Precious Bundles weszła na rynek? Dwa lata temu? Może trzy? Domyślam się, że bilans jest ujemny.

- To się zmieni. - Liz zarumieniła się po cebulki włosów. - Wkrótce.

Precious Bundles wciąż była na minusie. Większość nowych firm po dwóch latach szła na dno właśnie dlatego, że nie udało im się stanąć na nogi.

- Dzięki zamówieniu na żłobek z Whittaker Enterprises? No dobrze, a co potem? Dziecko urodzi się mniej więcej w tym czasie, kiedy powinnaś się zająć kolejnym dużym zamówieniem. Ciekawe, kto da poważne zlecenie firmie, której jedyny pracownik łąda chwila urodzi dziecko? Przecież na jakiś czas będziesz się musiała całkiem wyłączyć z życia zawodowego.

Miał rację, choć Liz nawet przed sobą nie bardzo chciała się do tego przyznać. Tak niewiele brakowało, żeby jej firma odniosła sukces, żeby udało jej się spłacić zaciągnięty kredyt. Potrzebowała tylko trochę czasu. Ale właśnie czasu najbardziej jej teraz brakowało.

Quentin patrzył na nią z taką miną, jakby umiał czytać w myślach. Potem usiadł na sofie i wyciągnął przed siebie nogi.

- Zrozum, nie mówię tego, żeby cię zasmucić czy przerazić - zaczął.

- Czyżby? - spytała z sarkazmem, który wprawiłby w dumę Allison.

- Naprawdę, Elizabeth - powiedział cicho. Dlaczego musiał ją nazwać tym imieniem? Dlaczego tym cichym, łagodnym tonem? I dlaczego akurat teraz, kiedy przygotowywała się do obrony?

- Jesteśmy dorośli i mamy się ku sobie - ciągnął Quentin. - Ty chcesz mieć dziecko. Ja też w końcu kiedyś chciałbym mieć dzieci.

- W końcu?

- Owszem. Właściwie nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałem. Nie myślałem o ożenku. W każdym razie nie o takim tradycyjnym małżeństwie, co to, no wiesz, żyli długo i szczęśliwie.

- Z powodu Vanessy?

- Można tak powiedzieć. - Oczy mu się zwęziły na wspomnienie byłej narzeczonej.

Zaręczyny zostały zerwane siedem lat temu, tuż przed ślubem. Quentin nigdy z nikim o tym nie rozmawiał. Nawet Allison nie wiedziała, o co poszło.

Liz ucieszyła się, kiedy odwołano ślub, choć jednocześnie dręczyło ją poczucie winy. Może gdyby tak bardzo nie cierpiała z powodu tych zaręczyn...

- Nie trzeba się żenić, żeby mieć dzieci - stwierdziła, wbrew własnej woli.

- W moim kodeksie moralnym nie ma innego wyjścia.

- Co, wobec tego, proponujesz? - spytała mimo ściśniętego gardła.

- Proponuję, żebyśmy spróbowali. Cztery spotkania. Potem zdecydujemy, czy lubimy się dostatecznie, żeby się pobrać i mieć dzieci. Od razu.

Szokująca propozycja. Beznamiętna, pozbawiona emocji, konkretna, a jednak szokująca.

- Nie wolałbyś się ożenić z kobietą, którą kochasz? - nie wytrzymała Liz.

- Mówiłem ci, że skończyłem z tymi bzdurami. Jestem bardzo bogatym człowiekiem, Elizabeth. Nie mam złudzeń co do tego, jak jestem postrzegany przez znakomitą większość kobiet.

Popatrzyła na niego. Nie mogła się powstrzymać. Prawie sto dziewięćdziesiąt centymetrów pierwszej klasy faceta, na którego widok nawet jej najstarsze klientki zapewne by zemdlały. Zwariował, czy co?

- A jak, twoim zdaniem, jesteś postrzegany przez znakomitą większość kobiet?

- Jako książeczka czekowa - odparł bez namysłu. - Dlatego moja propozycja nie ma nic wspólnego z tymi wszystkimi bzdurami o romantycznej miłości. Jest dużo lepsza.

- Lepsza? - powtórzyła za nim jak echo.

- Właśnie tak. Lepsza. - Quentin podniósł się z sofy, zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju. - Ty będziesz miała spokojną głowę i dziecko, którego tak bardzo pragniesz. Prócz tego pomoc finansową, żebyś się nie musiała martwić o przyszłość dziecka i żeby Precious Bundles nie utonąła przez ten czas, kiedy nie będziesz mogła się nią zajmować. A jeśli o mnie chodzi... Moi rodzice nareszcie dostaną wnuka, o którego od lat mnie męczą. Oni uważają, że spłodzenie im wnuka to mój obowiązek. Oczywiście dziecko musi się urodzić w legalnym związku.

- A co się stanie, kiedy się urodzi?

- To będzie zależało od nas. Możemy zostać małżeństwem. - Wzruszył ramionami. - Nasz układ nie będzie się bardzo różnił od innych małżeństw, które znam z country clubu.

Liz zdała sobie sprawę, że Quentin jest do szpiku kości przesiąknięty cynizmem, i znów ze smutkiem pomyślała o tym, co mu zrobiła Vanessa.

- Czy to też wchodzi w zakres umowy? - spytała. - Czy mam umilać czas twoim znajomym i jadać obiady w country clubie z innymi pokazowymi żonami?

- Nic podobnego. - Pokręcił głową z niesmakiem. - Nawet nie jestem członkiem country clubu. Nie cierpię tej zgrai. Chciałem tylko powiedzieć, że takie małżeństwo, o jakim tu mówimy, to dla nich nic nadzwyczajnego. Ale ja nie oczekuję od ciebie, żebyś zabawiała moich gości. Za to ty się nie spodziewaj, że polubię zmienianie pieluch.

- Nie przeszkadza ci, że jestem twoim pracownikiem? - Popatrzyła na niego kąpiąco. - Nie boisz się, co ludzie powiedzą?

- Żłobek wkrótce będzie gotowy. - Quentin znów wzruszył ramionami. - A jeśli zachowamy dyskrecję, to nikt się o niczym nie dowie. Rzeczywiście, z zasady nie mieszam pracy z przyjemnością, ale w końcu reguły są po to, żeby je łamać. Oczywiście tylko w nadzwyczajnych okolicznościach.

Cały ten szalony plan naprawdę zaczął nabierać sensu. Przynajmniej dla Liz.

- A czy... - szukała właściwego słowa, choć i tak już była czerwona jak piwonia - będziemy się starali o dziecko w sposób naturalny, czy...

- Chyba że umrzemy podczas tych prób - wpadł jej w słowo, spoglądając na nią pociesznie.

Zatkało ją. Nie miała pojęcia, że aż tak bardzo mu zależy.

- O co chodzi? - spytał, patrząc jej prosto w oczy. - Mam ci jeszcze raz zademonstrować, że stanowimy dobraną parę?

Odruchowo podniosła rękę, jakby chciała go powstrzymać.

- Nie! - zawołała. Zaraz jednak się pozbierała i powiedziała spokojniej: - Obejdzie się bez kolejnej demonstracji.

- Przyjadę po ciebie w sobotę wieczorem. Wyszedł obładowany pudełkami. Liz znów mogła swobodnie oddychać.

Było sobotnie popołudnie. Liz zrobiła już wszystko, co mogło ją zająć na tyle, żeby nie myśleć o planowanym spotkaniu z Quentinem. Odetchnęła z ulgą, kiedy zadzwonił telefon.

- Halo?

- Cześć, groszku.

- Tata! - ucieszyła się Liz.

- A więc jeszcze nie zapomniałaś głosu swojego starego ojca? Bogu dzięki i za to! - Dołożył głos ojca jak zwykle pobrzmiwał irlandzkim akcentem.

- Nie wygłupiaj się, tato, dopiero co rozmawialiśmy.
- Ciekawe, kiedy to było. Co najmniej tydzień temu.
- Jak się miewają ryby na Florydzie? - spytała Liz, sprytnie zmieniając temat.
- Fantastycznie! Złapałem basa² wielkiego jak stodoła. - Ojciec aż westchnął z ukontentowania. Chwilę rozmawiali o połowach, aż w końcu spytał o to, czego się spodziewała. - A co tam słyhać u mojej dziewczuszki?
- Ciężko pracuje.
- Tylko mi sienie przemęczaj. Lepiej pomyśl o wnusiu dla swego starego ojca.
- Tato! - zawołała zirytowana. Nie tylko Quentina rodzice męczyli o wnuka. Niestety jej ojciec nie miał pojęcia, jaki to drażliwy temat. Postanowiła obrócić wszystko w żart.
- Dam ci znać, jak tylko będą widoki na jakiegoś wnusia.
- Trudno się z tobą dogadać, dziewczyno.
- Do usłyszenia, tatau! - odłożyła słuchawkę.

Liz westchnęła. Miała osiem lat, kiedy zmarła jej matka. Od tamtej pory zawsze byli we dwoje. Ojciec bardzo kochał żonę i prawie się załamał po jej śmierci. Musiał zastąpić córce matkę i, oczywiście, nie zapominać o normalnych ojcowskich obowiązkach. Sprawdzał się fantastycznie, może nawet za dobrze. Z tego wszystkiego stał się nadopiekuńczy i wciąż jeszcze traktował Liz jak „swoją małą dziewczynkę”.

Kiedy przeszedł na emeryturę i przeniósł się na Florydę, namawiał Liz, żeby i ona tam zamieszkała. Jednak ona miała już wtedy własną firmę w Carlyle i nie miała ochoty na zmianę miejsca zamieszkania. W duszy miała też żal do ojca, że sprzedał swoje nieduże, ale prężne przedsiębiorstwo budowlane. Nawet nie spytał jej, czy nie miałyby ochoty go przejąć. Liz często się zastanawiała, jak by się potoczyły losy Donovan Construction, gdyby się urodziła chłopcem.

² bas - okoń morski (przyp. tłum.).

Quentin podjechał pod dom Elizabeth. Ubrany był w czarne spodnie, szarą koszulę i szary blezer. W sam raz na wieczór w Casa Vittoria w pobliskim Prescott, gdzie zarezerwował stolik. Była to ta sama restauracja, o której Lazarus wspominał podczas przyjęcia. Quentin czerpał ponurą satysfakcję z faktu, że udało mu się wymanewrować tego podejrzanego faceta.

Im bardziej się nad tym zastanawiał, tym szybciej dochodził do wniosku, że Allison miała świetny pomysł. Życie naprawdę stało się okropnie nudne. Te niekończące się procesje Vaness, z których każda widziała w nim tylko wielki worek pieniędzy...

Skrzywił się na wspomnienie byłej narzeczonej. Minęło już siedem lat... Miał wówczas dwadzieścia dziewięć lat, był młodym przedsiębiorcą robiącym błyskotliwą karierę. Tak się zapatrzył w błękitne oczy Vanessy, że ogłuchł na dyskretne uwagi rodziny i przyjaciół, którzy próbowali go ostrzec. Na szczęście otrzeźwiał. W ostatniej chwili.

Stało się to podczas wielkiego przyjęcia zaręczynowego. Vanessa nalegała, żeby się odbyło w eleganckim country clubie w Carlyle.

- Ależ kochanie - przekonywała niechętnego tej idei Quentina - wszyscy urządzają przyjęcia zaręczynowe w Bridgewater.

Pod koniec balu Quentin wyszedł na jeden z wielu tarasów, żeby zaczerpnąć powietrza i w spokoju wypić szklaneczkę whisky. Vanessa i jej przyjaciółka Mara stanęły tuż za drzwiami, żeby chwilę poplotkować. Nie widziały go.

- Och, Vanesso, tak bardzo się cieszę! - szczebiotała Mara.

- Dziękuję ci, kochana.

- Pomyśleć tylko, wchodzisz do rodziny Whittakerów! - Mara wachlowała się serwetką. Gołym okiem było widać, że za dużo wypła. - Ludzie mówią, że ten twój Quentin będzie wart ponad pół miliarda dolarów, nim skończy trzydzieści pięć lat! Nie wiem, jak zdołasz wydać taką kupę kasy.

- Jak możesz we mnie wątpić, Mar? - Dźwięczny śmiech Vanessy wybiegł daleko poza taras, na którym stał Quentin. - Przecież wiesz, że zawsze żyję ponad stan. Nie umiem inaczej.

- To fakt - przyznała Mara.

Śmiały się do rozpuku z żartu, który tylko one rozumiały.

- W samą porę - mówiła Mara. - Masz szczęście. Złowiłeś tego Quentina w ostatniej chwili. Zdaje się, że twój fundusz powierniczy właśnie się wyczerpał.

- To nie żadne szczęście, moja kochana - oświeciła przyjaciółkę Vanessa - tylko dobrze rozegrana partia.

- Biedny André ma pewnie złamane serce - stwierdziła Mara z nieodpowiednim do takiej uwagi chichotem.

- I to właśnie jest w tym wszystkim najlepsze! Quentin to pracoholik, nudny jak flaki z olejem, ale dzięki temu będę miała dużo wolnego czasu na spotkania z kochanym André.

Quentin zbladł. W jednej chwili wszystkie drzwi do jego serca zamknęły się z trzaskiem. Dla pewności jeszcze pozamykał je na cztery spusty.

To było dawno, siedem lat temu. Teraz nawet praca przestała go ekscytować. Nadal ciężko pracował, do późna przesiadywał w biurze, ale nie poświęcał już temu całej swojej uwagi. Nie czuł już dawnej konieczności parcia naprzód i osiągnięcia sukcesu za wszelką cenę.

Właściwie dopiero niedawno zdał sobie sprawę, że ma już trzydzieści sześć lat i że z każdym rokiem będzie coraz starszy. Zaledwie kilka miesięcy temu jeden z konkurujących z nim przedsiębiorców zmarł w swoim gabinecie na atak serca. Wypalił się, skończył i umarł nie dożywszy czterdziestki. Quentin nie miał ochoty iść w jego ślady.

Może więc nadszedł czas na nowe wyzwanie? Elizabeth mogłaby nim być. Wymagała o wiele więcej, niż był gotów dać. Na szczęście jednak wymyślił plan, który obojgu powinien odpowiadać. Krótki okres narzeczeństwa, a zaraz potem małżeństwo z rozsądku. A Elizabeth będzie miała to swoje dziecko i święty spokój na dokładkę.

Doskonałe rozwiązanie. Po prostu idealne!

Drzwi się otworzyły. Elizabeth miała na sobie suknię w kolorze czerwonego wina, która miękko spowijała jej kobiece kształty. Suknia miała ogromny dekolt, eksponujący krągłe ramiona i białą szyję.

- Proszę - wychrypiął Quentin, bo w gardle mu zaschło, i wręczył jej bukiet kwiatów.
- Dla ciebie.

- Dziękuję. - Wtuliła nos w gąszcz róż i lilii.

- Proszę bardzo - odparł, wchodząc za nią do domu.

- Uwielbiam lilie.

- Pasują kolorem do sukienki. - Genialny tekst, Whittaker!

- Rozgość się, proszę. Wstawię kwiaty do wody i możemy wychodzić.

Przyglądał jej się, kiedy szła do kuchni. Widok z tyłu był jeszcze bardziej interesujący niż z przodu, choć przedtem zdawało mu się, że to niemożliwe.

Liz wróciła z bukietem ułożonym starannie w szklanym wazonie, który postawiła na stoliku w rogu pokoju.

- Napijesz się czegoś? - spytała.

- Nie. Chodźmy już.

Nie chciał powiedzieć tego takim szorstkim tonem, ale powiedział. Wyłącznie dlatego, że nie ufał sobie, kiedy był z nią sam w domu.

Elizabeth trochę się zdziwiła tym jego tonem, ale nic nie powiedziała. Wzięła z kanapy małą czarną torebkę ozdobioną cekinami i zarzuciła na ramiona powiewny szal. Była gotowa do wyjścia.

Casa Vittoria znajdowała się o kwadrans dobrze znanej Quentinowi drogi, toteż dojechali tam w rekordowym tempie.

Posadzono ich przy najlepszym w całej restauracji stoliku. Quentin zanotował sobie w pamięci, żeby koniecznie podziękować sekretarce za dopilnowanie tego szczegółu. Natychmiast też zjawił się kelner z menu i kartą win, podczas gdy drugi napełniał szklanki krystaliczną wodą.

Kelner zachwalał specjalności dnia. Mówił po angielsku, ale z bardzo wyraźnym obcym akcentem. Quentin zdziwił się niepomiarnie, gdy Elizabeth zadała mu jakieś pytanie po włosku.

- Gdzie się nauczyłaś włoskiego? - spytał, kiedy kelner odszedł.

- W college'u - uśmiechnęła się. - Studiowałam języki romańskie. Po śmierci mamy razem z tatą podróżowaliśmy po świecie. Chciał mi w ten sposób zrekompensować jej brak. Nim zdałam do college'u, zdążyłam trochę poznać i polubić francuski, włoski i hiszpański.

Mówiąc, kręciła szklanką pełną wody. Odstawiła ją, bo woda zaczęła się przelewać. Quentin ucieszył się, że i ona czuje się nieco skrępowana. On nie mógł dojść do siebie, odkąd ją zobaczył w tej cudnej czerwonej sukni. Ośmielony, położył dłoń na jej dłoni, pogłaskał delikatnie.

- Ostrożnie - mruknął.

Uspokajający dotyk jego dłoni sprawił, że Liz zrobiło się ciepło. Patrzyła w oczy Quentina, które przybrały ciemnoszary odcień, jakiego nigdy przedtem nie widziała...

Uratowało ją przybycie kelnera, który chciał wiedzieć, czy już zdecydowali się na jakieś wino.

- Poproszę o chardonnay - powiedział Quentin, puszczając do niej oko. A więc pamiętał, że oboje lubią to wino.

- Allison mówiła mi, że ostatnio bardzo dużo pracujesz - odezwała się Liz, żeby sprowadzić rozmowę na bezpieczne tory.

Nie przyznała się przyjaciółce do planowanych spotkań z Quentinem. Nie chciała, żeby Ally żywiła nadzieje, które wcale nie muszą się spełnić.

- Tak - Quentin westchnął i rozparł się na krześle. -Prawie cały przyszły tydzień spędzę w podróży.

- Nie wyglądasz na zadowolonego.

Uśmiechnął się do niej. Po raz pierwszy zauważyła, że jest zmęczony i zmizerniały.

- Życie na walizkach to nic przyjemnego.

- Często wyjeżdżasz?

- Częściej, niż bym chciał. Komputerowy świat gna jak szalony, a wielu naszych partnerów ma siedziby aż w Kalifornii. A ty? Często jeździsz?

- Większość moich klientów mieszka w Massachusetts. Sporo podróżuję, ale tylko w granicach stanu.

Przyszedł kelner, żeby przyjąć zamówienie, a kiedy odszedł, Quentin spytał:

- Zastanawiałaś się, jak sobie poradzisz, kiedy urodzisz dziecko?

Popatrzyła na niego, zdumiona bezpośredniością tego pytania.

- Whittaker Enterprises daje pracownikom różne możliwości - ciągnął Quentin. - Mogą pracować na pół etatu albo w określonych godzinach, albo w ogóle w domu.

- Godne podziwu.

Uśmiechnął się w ten właściwy sobie, kpiący sposób.

- Prawda jest taka, że gdybym się nie zgodził z tym, że to dobra polityka, mama i Allison dałyby mi popalić.

Liz starała się nie roześmiać.

- Jestem pewna - powiedziała - że pracownicy są ci bardzo wdzięczni.

- Największa korzyść z tych wszystkich działań to wielki artykuł na ten temat w magazynie dla rodziców. Napisali, że jestem ulubieńcem dwóch ulic: Wall Street i Ulicy Sezamkowej.

Tym razem Liz się roześmiała, a Quentin razem z nią.

- Gorsze rzeczy o tobie mówią.

- To fakt - przyznał Quentin. - Zawsze trzeba oczekiwać najgorszego. Wtedy można być co najwyżej mile zaskoczonym.

- Czy to twoje motto?

- Jedno z wielu.

- A jakie są inne?

- Dzisiejsze marzenia są zbudowane na wczorajszej rzeczywistości.

- Nigdy wcześniej tego nie słyszałam.

- Sam to wymyśliłem - pochwalił się Quentin.

- Rozumiem - westchnęła. - Domorosły filozof.

- Wiktoriańska dama i Machiavelli?

- A więc uważasz się za realistę, który spodziewa się po ludziach wszystkiego najgorszego?

Pochylił się nad stolikiem, jakby zamierzał wyjawić sekret.

- Każdy przedsiębiorca jest po trosze Machiavellim - powiedział. - To wchodzi w zakres obowiązków. Nie pozwól sobie wmówić, że jest inaczej.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że ja tylko udaję skromną i zrównoważoną wiktoriańską damę? - spytała, bo przecież posiadanie firmy, choćby tak małej jak Precious Bundles, ją również stawiało w gronie przedsiębiorców.

Quentin popatrzył na nią, a potem się uśmiechnął.

- Nie - zaprzeczył. - To tylko jedna strona twojej osobowości. Ta druga to klasyczna kobieta interesu. Gdyby było inaczej, dałabyś mi w twarz, kiedy zaproponowałem ci ten układ.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Quentin odwiózł ją do domu i Elizabeth zaprosiła go na herbatę. Wahał się przez chwilę, po czym mruknął coś, co mogło oznaczać zgodę, i wszedł za nią do domu.

Postawiła czajnik na gazie, ułożyła na talerzyku własnoręcznie upieczone ciasteczka. Zawsze robiła wypieki, kiedy czymś się denerwowała. Tak jak przed tą dzisiejszą randką. Gdyby tylko zdołała przez resztę wieczoru utrzymać się w garści, nie zmienić się w drżącą galaretkę...

Weszła do pokoju z zastawioną tacą: filiżanki, dzbanek z herbatą, cukiernica i talerz z ciastkami. Jak zwykle, kiedy są goście. Chociaż tym razem to nie był zwykły gość...

Quentin oglądał koronkową serwetę okrywającą jeden ze stolików.

- To jakiś antyk? - spytał.

- Należała do mojej mamy - odparła Liz, stawiając tacę na niskim stoliku. - Pamiątka rodzinna McConnelów. Zresztą jak większość antyków, które mam w domu.

Usiadł na sofie obok Liz. Dobrze, że sofa była mocna i duża, w stylu wiktoriańskim. Na każdym innym meblu czułaby się zbyt blisko Quentina.

- Opowiedz mi o swojej mamie - poprosił.

- Niewiele mam do opowiadania. - Liz westchnęła. - Miałam osiem lat, kiedy umarła. Na raka.

- Bardzo ci współczuję - powiedział cicho.

- Mam kilka wspomnień - opowiadała Liz. - Czasami, kiedy patrzę na gardenie, przypominam sobie bukiety kwiatowe mamy. Albo kiedy pachnie rozlana zupa grochowa, przypominam sobie, jak gotowała obiad.

- Ile miała lat, kiedy umarła?

- Dwadzieścia dziewięć.

- Tyle samo, co ty teraz.

- Owszem, ale ja zamierzam wygrać - odparła z przekonaniem.

- Na pewno ci się uda - stwierdził Quentin bez cienia wątpliwości.

Elizabeth przypominała mu delikatny kwiat rozkwitły na bardzo mocnej łądździe. Jej proste plecy i wypięta pierś zadowolilyby najbardziej wymagającego nauczyciela dobrych manier. A przy tym była taka krucha...

Ta kobieta doprowadzała go do wrzenia. Pałący ogień pod chłodną powłoką każdego mężczyznę doprowadziłby do szaleństwa. Zwłaszcza takiego, który dopiero co rozsmakował się w rudowłosej projektantce wewnątrz o słodkim głosie i kremowej cerze.

A niech to, pomyślał, poczuwszy podniecenie.

- Herbata pięknie pachnie - powiedział. - Należesz nam po filiżance?

- Oczywiście. - Zawstydziała się, bo całkiem zapomniała o nalaniu herbaty. Już wiedziała, że nie zdoła ukryć zdenerwowania, że wszystkie starania o to, żeby się wydać spokojną i opanowaną, właśnie poszły na marne.

Podczas nalewania herbaty niechący otarła się o kolana Quentina. Starła się zignorować dreszcz, jaki ją przeszedł. Z rozmysłem podniosła do ust ciasteczko. Jeśli już miała popełnić grzech, wołała, żeby był związany z jedzeniem.

Zamarła, gdy Quentin wziął do ręki pasmo jej włosów, obejrzał je sobie, po czym zaczął nawijać je na palec.

- Może ciasteczko? - zaproponowała.

- Chętnie - roześmiał się. - Ale mam zajęte ręce. - Popatrzył na pukiel jej włosów nawinięty na swój palec. - Może byś mnie nakarmiła?

- Ja...

- Pomogę ci - powiedział, nachyliwszy się nad nią. Odgryzł spory kawałek ciastka, które Liz wciąż trzymała w zeszywniałej dłoni.

O rany! Była zdenerwowana i ociężała jednocześnie. Jak to możliwe?

Pochylił się raz jeszcze, ustami wyjął z jej palców resztkę ciastka.

- Mam nadzieję, że lubisz czekoladowe ciasteczka - powiedziała całkiem bez sensu.

- Bardzo. Myślę, że ty też je lubisz.

- To moje ulubione.

- To dobrze. - Z namysłem skinął głową. - Bardzo dobrze.

- Dlaczego?

- Ponieważ mam zamiar cię pocałować, a skoro lubisz czekoladowe ciasteczka, to sprawi ci to większą przyjemność.

- Och!

Nic więcej nie zdążyła powiedzieć, bo Quentin puścił pasmo jej włosów, przytulił ją i pocałował.

Liz zadrżała. Wsunęła palce w jego włosy, przyciągając go bliżej i szukając jeszcze więcej przyjemności.

Quentin nie mógł jasno myśleć. Słodki lawendowy zapach otaczający Liz uwodził go i odurzał. Skórę miała gładką i taką miękką, że chciało się jej dotykać.

Wzdrygnęła się, kiedy jej głowa oparła się o poduszki sofy, jakby chciała się wycofać.

- Spokojnie - mruknął. - Powoli, spokojnie, bez pośpiechu.

Jego głos był opanowany, znacznie bardziej niż sam Quentin. Ręce drżały mu lekko, kiedy rozpiął suwak sukienki i uwalniał bujne piersi z koronkowego stanika.

- Piękne - szepnął, ochryply z pożądania.

Zaczął delikatnie pieścić nagie ciało. Liz westchnęła, zamknęła oczy. To było takie cudowne, fantastyczne, nie do wytrzymania... Pragnęła go z całych sił. Właściwie, na co czekać?

Z tą myślą zdjęła mu marynarkę, po czym zabrała się za rozpinanie koszuli.

Quentin spojrzał na nią, zaśmiał się cichutko.

- Proszę... - wyszeptała.

Nie protestował, sam rozpiął koszulę. Był szczupły, ale dobrze zbudowany. Liz przesunęła palcami po jego torsie. Zamknęła oczy, jakby smakował tę chwilę, a potem znów przytulił do siebie Elizabeth.

Ciepło zastąpiło chłód. Tam, gdzie przed chwilą było tylko powietrze, teraz znajdowały się usta Quentina.

Poczuła, że jest podniecony, odruchowo wsunęła dłoń pomiędzy nich, żeby go dotknąć.

Z jękiem wtulił się w jej dłoń, ale tylko na chwilę. Zaraz potem przestał ją całować, usiadł. Oczy mu płonęły, oddychał z trudem.

Liz zrozumiała, co wyrażały jego oczy. Mówiły, że albo teraz przestaną, albo on już nie będzie w stanie przestać. Dopiero wtedy zorientowała się, jak daleko zaszli i jak mało czasu im to zajęło. Zawstydziała się, zarumieniła po cebulki włosów.

Pospiesznie włożyła sukienkę. Nie patrzyła na Quentina, co było idiotyczne, ponieważ on wciąż siedział obok niej na sofie nagi do pasa.

- Pomóc ci? - spytał. Głos miał trochę zachrypnięty.

- Nie trzeba - mruknęła, wciąż nie patrząc na niego.

- Dość już narobiłeś kłopotów.

Quentin wyciągnął przed siebie ręce.

- Dobra, chłopaki, skończcie z tym - powiedział surowo. - Ile razy mam wam powtarzać, żebyście się nie oddalali.

Popatrzyła na niego. Teraz już mogła, bo udało jej się nie tylko włożyć, ale i zapiąć sukienkę. Postanowiła przyłączyć się do gry. Przystałaby na wszystko, byleby tylko jakoś rozładować sytuację.

- Stara śpiewka. Ty nic nie zrobiłeś, to tylko twoje ręce?

- One cię przepraszają. - Quentin zrobił żalostną minę.

- Założyłbym im kajdanki, ale boję się, że uznają to za perwersję.

Liz się roześmiała.

Quentin popatrzył na nią, podniósł z podłogi koszulę, nałożył ją i wziął marynarkę. Pochylił się, pocałował Liz w usta i wziął z talerza ciasteczko.

- Dziękuję za cudowny wieczór. - Wsadził niegrzeczne ręce do kieszeni, odwrócił głowę w stronę drzwi. - Zamknij za mną drzwi. Chcę mieć pewność, że jesteś bezpieczna.

Nazajutrz przywieziono kwiaty. Dwanaście białych róż z odrobiną czerwieni na końcach płatków. Na karneciku napisano: „Dziękuję za wyjątkowy wieczór. Wkrótce zadzwonię. Quentin”.

Tydzień minął bardzo prędko. We wtorek Liz odbyła w siedzibie Whittakerów rozmowy z potencjalnymi wykonawcami. Bardzo się cieszyła, że Quentin jest w podróży i że na pewno nie spotka go w biurówcu.

Broszury z kliniki płodności wciąż leżały w szufladzie biurka, tam gdzie je schowała. Nęciły ją, przypominały, że jeśli rozważy poważnie propozycję Quentina, to znaczy, że całkiem zwariowała.

W środę zadzwoniła Allison.

- Wygraliśmy! - krzyczała w słuchawkę.

- My? - Przerazona Liz pomyślała, że Quentin jednak powiedział siostrze o wszystkim.

- Proces! Ława przysięgłych wydała wyrok na naszą korzyść. Ci złodzieje zapłacą jak za zboże.

Liz odetchnęła z ulgą. Tylko tego brakowało, żeby Allison zaczęła rozpowiadać wszem i wobec, że Liz i Quentin zostaną rodzicami. Tego samego dziecka.

- To świetnie!

- A jak tam sprawy w Quentinlandzie? - spytała Allison, wróciwszy na ziemię.

- Mówisz o wyprawie Whittakerów na podbój rynku komputerowego?

- Zawsze uważałam, że ty i Quentin bylibyście dobraną parą! Jesteś doskonałą odtrutką na przerośnięte ego mojego braciszka.

- No, nie wiem. Quentin nie jest aż taki straszny.

- Co ty wygadujesz? Mówimy o tym facecie, który kłął na czym świat stoi, kiedy musiał przyjechać po mnie na rozdanie świadectw? O tym samym, który powiedział o moim pierwszym narzeczonym, że to frytka, która wypadła z paczki?

- O Lennym? - Liz roześmiała się. - Czy to nie on skleił sobie palce klejem i chodził tak przez pół dnia?

- To nie ma nic do rzeczy - prychnęła Allison. - Sęk w tym, że ten brat jest moim przekleństwem. Na dodatek jest taki tępy, że nawet o tym nie wie.

- To dlaczego chcesz mi go podesłać? - Liz nie mogła się powstrzymać od zadania tego pytania.

- Wiedziałam, że nie dasz się w to wrobić! - Allison westchnęła komicznie. - Wiem, to okrutne, ale nie mam innego sposobu, żeby się go pozbyć na dobre. No, ale wygląda mi na to, że nawet ty go nie chcesz.

Liz zwróciła oczy ku niebu. Bóg wie, że poruszały się po cienkim lodzie. Musiała skończyć rozmowę, zanim Allison zacznie drążyć temat.

Rozmowa z Allison odrobinę ją rozluźniła, ale od czwartku Liz wpatrywała się w telefon, jakby w każdej chwili mógł wystawić nogi i odmaszerować. Mimo wszystko udało jej się jednak skoncentrować na tyle, żeby zrobić całkiem przyzwoity projekt pokoju do zabaw dla pani Elfinger. Kiedy więc telefon zadzwonił, odebrała go jak zwykle.

- Witaj, Elizabeth - usłyszała w słuchawce głos Quentina.

Naprawdę nie wiedziała dlaczego, ale nie spodziewała się go usłyszeć właśnie teraz. Musiała oddać Quentinowi sprawiedliwość: zawsze potrafił wprawić ją w zakłopotanie, nawet jeśli się znajdował o tysiące mil od niej.

- Co u ciebie? - spytała, siląc się na swobodną konwersację.

- Haruję jak wół, ale chyba niedługo podpiszemy tę umowę. Otwieramy witrynę internetową, rodzaj telefonicznej informacji w ramach portalu internetowego Whit-takerów.

- Czyżbyś planował ostateczną inwazję na rynek komputerowy?

- Zgadłś - przyznał Quentin. - Problem w tym, że tylko o krok wyprzedzamy konkurencję. Musimy się bardzo starać, żeby utrzymać dystans.

Popatrzyła na bukiet kwiatów stojący na stoliku.

- Dziękuję za kwiaty. Są śliczne.

- Nie ma za co. - Czyżby jej się zdawało, czy jego głos rzeczywiście odrobinę przycichł? - Przepraszam, że dopiero teraz dzwonię, ale pracuję właściwie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Myślałem o tobie.

Liz poczuła ciepło koło serca. Woląta się nie zastanawiać, o czym mógł myśleć. Po chwili Quentin mówił dalej:

- Będę w biurze w poniedziałek. Spotkajmy się tam. Zjemy razem lunch.

- I tak miałam być u was w poniedziałek. Muszę dopilnować modernizacji. Przedsiębiorstwo, które zaangażowałam, będzie rozbijać ściany.

- Świetnie. Przyjdź do mnie, kiedy skończysz. Stamtąd pójdziemy na lunch.

Kiedy w poniedziałkowe południe Liz weszła do sekretariatu Quentina, powitało ją pytające spojrzenie dziarskiej starszej pani.

- Przyszłam...

- ..do Quentina - dokończyła za nią siwowłosa sekretarka. Uśmiechnęła się, wstała od biurka. Liz poczuła na sobie taksujące spojrzenie. - W tej chwili rozmawia przez telefon. Zaraz skończy. Zrobić ci coś do picia, kochana?

- Nie, nie. Bardzo dziękuję.

Otworzyły się drzwi w drugim końcu pokoju i do sekretariatu wszedł Quentin. Był bez marynarki, włosy miał potargane. Zauważył Liz i uśmiechnął się do niej.

- Elizabeth!

Ten jeden uśmiech sprawił jej idiotyczną, całkiem niestychaną radość.

- Cześć, Quentin.

- Widzę, że już poznałaś niezrównaną Celinę O'Sullivan - ucieszył się Quentin.

- Daj spokój, Quentin. - Celinę popatrzyła na niego z wyrzutem. - Jestem tylko starą sekretarką, która musi z tobą wytrzymać do czasu, aż będzie mogła przejść na emeryturę i dostać tę gratyfikację, którą mi od dawna obiecujesz.

Quentin roześmiał się, jakby to był dobry żart, który tylko oni dwoje rozumieli.

Liz przypomniała sobie, że kiedy poprzednio była w biurze Quentina, nie było tam tej miłej starszej pani. Widocznie ktoś ją wówczas zastępował.

- Chyba po raz pierwszy widzę panią O'Sullivan.

- Mów mi Celinę, kochana - poprosiła sekretarka. -Rzeczywiście, nie spotkałyśmy się wcześniej, choć na pewno rozmawiałyśmy przez telefon.

A więc to Celine umówiła ją na tamto pierwsze spotkanie z Quentinem, na to, po którym omal jej nie pocałował. Liz poczuła, że się rumieni.

- Bardzo dużo o tobie słyszałam - mówiła Celinę. - Jesteś przyjaciółką Ally, prawda?

- Tak. Mam na imię Liz.

Zadzwoił telefon i Quentin pospiesznie wrócił do gabinetu. Nawet nie zamknął za sobą drzwi.

- To bardzo dobry człowiek. - Celinę puściła oko do Liz. - Tylko mu tego nie powtarzaj.

- Gazety go uwielbiają.

- Diabeł z nimi tańczył. - Celinę machnęła ręką, jakby się odganiała od uprzykrzonej muchy. - Quentin woli ślęczeć nad sprawozdaniami, niż chodzić na przyjęcia. Uważa je za zło konieczne, jeszcze jeden obowiązek zawodowy. A gazety go uwielbiają, bo jest młody, przystojny, bogaty i wolny.

Celinę popatrzyła znacząco na Liz, która znów się zarumieniła. Czyżby sekretarka Quentina, tak samo jak jego matka, też doszła do wniosku, że Quentin powinien się wreszcie ustatkować?

- Ale chyba nie pracuje bez przerwy? - spytała.

- On zawsze był poważnym chłopcem, a przecież znam go od lat. Zaczęłam pracować u jego ojca, kiedy Quentin był jeszcze mały.

Celinę zapatrzyła się w przestrzeń, jakby widziała tam minione czasy.

- Wszyscy wiedzieliśmy, że daleko zajdzie. I nie tylko w pracy, choć na tym polu osiągał największe sukcesy. On naprawdę jest bardzo dobry. I lojalny wobec swoich bliskich. - Celinę znów popatrzyła na Liz. - Te akcje, które mi sprezentował... No cóż, prawda jest taka, że nie pracuję tu z konieczności.

Liz chłonęła informacje jak gąbka. Jeśli można było wierzyć jego sekretarce, to istniał taki Quentin, którego znali tylko nieliczni, najbardziej uprzywilejowani.

- Przepraszam. - Quentin wrócił do sekretariatu. - Nagły problem z naszymi operacjami w Europie. Znosi się na długą rozmowę.

- To żaden problem - powiedziała Liz. - Będę miała więcej czasu na dopilnowanie tego, co się dzieje w żłobku.

- Zadzwoń do restauracji i przesunę rezerwację - zaproponowała Celinę.

- Co ja bym bez ciebie zrobił? - Quentin spojrzął z wdzięcznością na sekretarkę, po czym zwrócił się do Liz: - Znajdę cię na dole, kiedy skończę.

W miejscu, gdzie miał powstać żłobek, panował kompletny chaos, zawieszony na czas przerwy obiadowej. Porzucone narzędzia leżały między drabinami rozstawionymi na płachtach malarskich.

Liz była tu już wcześniej i rozmawiała z przedsiębiorcą budowlanym, ale teraz miała okazję spokojnie sobie wszystko pomierzyć, nie wchodząc w drogę robotnikom. Wyjęła z torby taśmę mierniczą, ołówek, notes i wzięła się do roboty.

Minęła godzina, nim zrobiła pomiary i rysunki. Wreszcie mogła się wyprostować. Rozejrzała się po zrujnowanym w tej chwili pomieszczeniu. W wyobraźni widziała, jak będzie wyglądało po remoncie. Podobała jej się ta wizja. Wiedziała już, gdzie będzie kącik dla wychowawców, gdzie małe stoliki, a gdzie kąt do zabaw. Nie mogła się tylko zdecydować, w którym miejscu zamontować szafki. Ściana na wprost doskonale by się nadawała do tego celu, ale ta po lewej stronie była równie dobra.

Liz obgryzała ołówek, rozważając różne możliwości. W pobliżu stała wysoka, poplamiona farbą drabina. Liz postanowiła z niej skorzystać. Mogła wejść na drabinę, zaznaczyć na ścianie położenie ewentualnych szafek i w ten sposób ułatwić sobie podjęcie ostatecznej decyzji.

Postanowiła sprawdzić najpierw ścianę po lewej stronie. Przysunęła sobie drabinę, weszła na sam szczyt, zaznaczyła górną linię planowanych szafek. Schodziła z drabiny, przesuwała ją wzdłuż ściany, znów się wdrapywała i rysowała na ścianie kolejne linie.

W pewnej chwili drabina się zachwiała. Może rozluźniła się linka łącząca ze sobą jej dwie połowy albo coś innego; Liz straciła równowagę.

Krzyknęła przerażona. Nie gruchnęła o podłogę, tylko wpadła w silne, męskie ramiona. Drabina z hukiem uderzyła o podłogę, dźwięk odbił się echem od pustych ścian.

- Cholera! Co ty wyprawiasz! - zdenerwował się Quentin, tuląc do siebie przerażoną Elizabeth.

Odgarnęła z twarzy kosmyk włosów.

- Wykonuję swoją pracę - burknęła.

- Balansując na szczycie drabiny? - Popatrzył znacząco na jej delikatne sandałki. - W balowych pantofelkach?

- To nie moja wina - tłumaczyła się Liz. - Drabina mi odjechała.

- Widzę. - Spojrzał z odrazą na leżącą nieopodal drabinę. - Ale wciąż nie rozumiem, co ty robiłaś na jej szczycie.

Gdyby po prostu się zmartwił, zareagowałaby inaczej, ale nie mogła pozwolić, by na nią pokrzykiwał.

- Płacisz mi za to, żebym urządziła ci tutaj żłobek - warknęła. - I właśnie to robię. Poczekaj na końcowy efekt, a swoje uwagi zatrzymaj dla siebie.

Głupio było tak krzyknąć na faceta, który nadal trzymał ją na rękach, ale nie życzyła sobie, żeby ją strofował jak małe dziecko.

- Postaw mnie na podłodze - powiedziała. I, opamiętawszy się, dodała: - Proszę.

Chwilę się wahał, jakby nie miał na to ochoty, w końcu jednak zrobił, o co prosiła.

Liz stanęła na własnych nogach. Syknęła z bólu.

- Co się stało? - zaniepokoił się Quentin.

Nie mogłaby skłamać, nawet gdyby bardzo chciała. Ból jej na to nie pozwalał.

- Chyba skręciłam nogę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Chociaż protestowała, znów wzięła ją na ręce. Może dlatego, że nie robiła tego zbyt stanowczo.

- Nie wierć się i siedź cicho - burknął. - Jedziemy do lekarza.

- Oczywiście, ale...

Popatrzył na nią i to wystarczyło, by umilkła. Schylił się, żeby mogła podnieść z ziemi torebkę.

Przeraził się, kiedy zobaczył, jak Elizabeth chwieje się na tej przeklętej drabinie w tych swoich głupich sandałkach. To ze strachu na nią nakrzyczał.

Jeszcze teraz czuł gwałtowne pulsowanie krwi, choć tym razem nie tylko z powodu tego, co się mogło stać. Pierś Liz wciskała się w jego tors, jego ręka znajdowała się ledwie kilka centymetrów od jej pośladków. Musiał zacisnąć zęby, żeby opanować falę podniecenia.

Minął kilku gapiących się posłańców i recepcjonistkę, która patrzyła oniemiała na szefa niosącego na rękach jakąś kobietę.

- Suzy, zadzwoń do doktora Gravera - polecił jej Quentin. - Powiedz, że będę u niego za piętnaście minut.

- Już dzwonię - odparła dziewczyna i natychmiast wykonała polecenie.

Zanim Quentin wyszedł przed biurowiec, usłyszał, jak rozmawia z asystentką doktora Gravera.

- Postaw mnie - domagała się Liz. - Potrafię sama dojść do samochodu.

- Jak?

- Poza tym mam własnego lekarza.

- I bardzo dobrze. Ale dzisiaj pojedziesz do mojego.

- Umiesz wydawać polecenia, to wiem, ale czy potrafisz ich słuchać?

- Zależy od sytuacji - mruknął. Zarumieniła się.

- Dokąd jedziemy? - Elizabeth spojrzała przez okno na zjazd z autostrady, który właśnie mijali, po czym znów popatrzyła na Quentina. - Minąłeś mój dom.

Lekarz, który ją badał, stwierdził, że noga jest zwichnięta w kostce. Wprawdzie gips nie będzie potrzebny, ale co najmniej przez dwa tygodnie trzeba będzie chodzić o kulach.

- Jedziemy do mnie.

- Co? - Liz się przeraziła.

- Nie martw się. - Quentin na chwilę odwrócił wzrok od szosy. - Nie mam żadnych zdrowych zamiarów.

- Domyślam się - skłamała, bo to właśnie była pierwsza myśl, jaka jej przyszła do głowy. - Ale chciałabym wiedzieć, czemu zawdzięczam to nieoczekiwane zaproszenie.

Quentin roześmiał się.

- Ktoś musi się tobą opiekować - powiedział. - Moja gospodyni świetnie się do tego nadaje. Na pewno ją polubisz.

- O, nie...

- Nawet nie próbuj się kłócić.

- Sama sobie poradzę - upierała się Elizabeth.

- Ciekawe jak? Nie wolno ci stawać na tej nodze, a nie masz nikogo, kto by ci podał jedzenie czy zajął się domem, nie mówiąc o załatwianiu spraw na mieście.

- Mogę mieszkać u Allison.

- Zapomnij. Wiesz równie dobrze jak ja, że Allison pracuje do późna, zwłaszcza kiedy toczy się proces. I nie ma nawet sprzątaczkę. Czasami tylko sąsiadka opiekuje się jej kotem.

Miał rację, choć Liz za żadne skarby by mu tej racji nie przyznała.

- Spójrz na to z lepszej strony. Będziemy mieli okazję się przekonać, czy rzeczywiście do siebie pasujemy.

- A moje rzeczy? - spytała z taką miną, jakby się chwytała ostatniej deski ratunku.

- Żaden problem. Wpadnę do ciebie i przywiozę wszystko, czego potrzebujesz. Czy to znaczy, że przyjmujesz zaproszenie?

Liz spojrzała na niego, westchnęła.

- A mam inne wyjście? - spytała.

Oczywiście widziała już dom Quentina, ale tylko z zewnątrz. Często przejeżdżała obok niego, kiedy udawała się na spotkania z klientami w najelegantszych dzielnicach Carlyle. Kupił ten dom zaraz po swoich zaręczynach.

Drewniana konstrukcja domu powstała w połowie dziewiętnastego wieku. Białe deski i ogrodzenie z białych palików kontrastowały z czarnymi drzwiami i okiennicami. Od ulicy przysłaniały dom dwa ogromne dęby rosnące przed gankiem.

Liz taki właśnie dom by kupiła, gdyby mogła sobie na to pozwolić. Bardzo chciała obejrzeć jego wnętrze i przekonać się, czy przypadkiem nie jest takie, jakie sobie wymarzyła. Tylko jedna myśl ją przed tym powstrzymywała: Quentin kupił przecież ten dom dla innej kobiety.

- Oprowadzę cię, żebyś wiedziała, gdzie co jest - powiedział, gdy tylko znaleźli się w środku. - Nie mam tu zbyt licznej służby, bo często podróżuję. Jest jedynie ogrodnik i firma sprzątająca raz w tygodniu. Fred O'Donnelly pełni funkcję lokaja na pół etatu, a jego żona Muriel jest tu gospodynią.

Liz podziwiała wypolerowaną poręcz schodów prowadzących z holu, w którym właśnie stali, na wyższy poziom.

- Czy drewniane elementy są oryginalne? - spytała.

- Tak. - Quentin otworzył drzwi z lewej strony. Liz, oparta na kulach, weszła za nim do salonu. - Kominiek też został starannie odrestaurowany.

Okazały marmurowy kominiek był pierwszą rzeczą, jaką się zauważało po wejściu do pokoju. Podłogę zaścielał puszysty kremowy dywan, na którym stał stolik do kawy i dwie sofy ustawione po obu jego stronach.

- Meble w tym pokoju, zresztą tak jak w prawie całym domu, pochodzą z mojego kawalerskiego mieszkania - opowiadał Quentin. - Zarządziłem niezbędny remont i renowację, a urządzenie wnętrz pozostawiłem Vanessie...

Zamilkł nagle, zacisnął zęby, ale po chwili mówił dalej.

- Zanim doszło do urządzania wnętrza, nie miałem już narzeczonej, ale o tym pewnie dobrze wiesz.

- Allison wspominała o twoich zaręczynach - powiedziała skonsternowana Liz.

W swoim czasie poważnie się obawiała, żeby przyszła pani Whittaker nie zleciła jej przypadkiem urządzania domu, a o zerwaniu zaręczyn pisały wszystkie lokalne gazety. Nie było końca spekulacjom na temat powodów rozstania najstarszego syna Whittakerów z jedną z najpiękniejszych kobiet z bostońskiego towarzystwa.

- Jest śliczny - powiedziała Liz, spoglądając z zachwytem na kominek.

- Cieszę się, że ci się podoba - powiedział Quentin z dumą, po czym popatrzył z powątpiewaniem na kule Elizabeth. - Pokazałbym ci resztę domu, ale boję się, że nie dasz rady.

- Już się przyzwyczałam do kul - odparła pewna siebie - i bardzo chętnie obejrzę wszystko.

Prócz salonu na parterze znajdowały się jeszcze gabinet, jadalnia, kuchnia i duży pokój. Wszędzie była ta sama stara, perfekcyjnie odrestaurowana stolarka. W przestronnej kuchni znajdowały się wszystkie nowoczesne sprzęty i urządzenia, jednak tradycyjne meble sprawiały, że doskonale się komponowała z pozostałymi pomieszczeniami.

- Kiedy kupowałem ten dom, kuchnia już była po remoncie - opowiadał Quentin, gdy szli pomału w stronę schodów.

- Jasne. - Elizabeth była taka zajęta rozglądaniem się po domu, że nie zauważyła, jak się zawahał, gdy dotarli do schodów.

- Lepiej cię tam zaniosę.

- Naprawdę nie trzeba... - Wciąż jeszcze serce gwałtownie jej przyspieszało, kiedy Quentin brał ją na ręce. Nie mogła się do tego przyzwycząć. - Sama się wdrapię na schody.

- Jasne. - Wyjął jej z rąk kule. - A ja mam stać beczynnie i patrzeć, jak się mordujesz.

Nim się zorientowała, już trzymał ją w ramionach, przytulał do muskularnego torsu. Gdyby nawet udało jej się zapomnieć, jak był zbudowany, teraz by sobie przypomniała.

- Postaw mnie...

- Nie. - Nie pozwolił jej nawet dokończyć zdania. - I przestań się wiercić.

Jego ciepły oddech muskał kosmyki włosów na jej skroniach. Elizabeth trzymała Quentina za szyję. Całym ciałem czuła, jak poruszają się jego mięśnie, kiedy wspina się z nią po schodach.

Spojrzała na jego szyję, przygryzła wargę. Miała wielką ochotę pocałować go w brodę, pociemniałą już od wieczornego zarostu.

Wniósł ją na górę i tam postawił. Pomógł jej się oprzeć o poręcz, po czym przyniósł kule i dopilnował, żeby się na nich dobrze wsparła.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

- Bardzo proszę.

Na piętrze było pięć sypialni, z których dwie wcale nie były umeblowane.

- Nie miałem czasu się tym zająć - usprawiedliwiał się Quentin. - Kupiłem ten dom wiele lat temu, ale nie muszę się spieszyć z urzędzaniem. A tu jest moja sypialnia - powiedział, otwierając kolejne drzwi.

Sama nie wiedziała, czego się spodziewać, ale na pewno nie tego, co zobaczyła. Pokój wypełniały stare meble z pięknego palisandru, a największym z nich było ogromne łóżko. Kremowa pościel, tapicerka i zasłony uwydatniały urodę brązowego drewna z czerwonymi żyłkami. Rezultat zapierał dech w piersi.

A więc Quentin lubił antyki! I, o ile można było sądzić z pozorów, znał się na nich. Liz była pod wrażeniem tego, co zobaczyła. Nawet więcej: była oszołomiona.

- Miałeś te meble w kawalerskim mieszkaniu? Uśmiechnął się, usłyszawszy zdumienie w jej głosie.

- Co cię tak zdziwiło? Myślisz, że dobry gust mi nie przystoi?

- Przepraszam, ale... spodziewałam się czegoś innego.

- Dużo skóry i lustra na wszystkich ścianach? - Quentin roześmiał się.

Liz także się uśmiechnęła, zakłopotana, że udało mu się odgadnąć jej myśli.

- Nie miałam pojęcia, że lubisz antyki.

- Kiedy byłem w Harvardzie, często wybierałem się na przejażdżki, żeby odpocząć od wkuwania. Czasami trafiałem na wyprzedaż antyków, a czasem ktoś sprzedawał meble na własnym podwórku.

- Jestem zaskoczona, bo odniosłam wrażenie, że zupełnie cię nie obchodzi wygląd twojego gabinetu.

- Rzeczywiście, mało mnie obchodzi, ale to nie jest moje własne miejsce, tylko miejsce do pracy. Postanowiłem zdać się na zawodowych dekoratorów. Uznałem, że się na tym znają. W każdym razie powinni, bo kosztowali mnie majątek.

Elizabeth wzięła do ręki zegar stojący na komodzie. Kunsztowne rzeźbienia drewnianej obudowy świadczyły o tym, że pochodzi z epoki wiktoriańskiej.

- Prześliczny - westchnęła zachwycona.

- Mam dużą kolekcję zegarów i czasomierzy - pochwalił się Quentin, stając tuż obok niej.

- A więc pewnie twoim ulubionym muzeum jest muzeum zegarów w Genewie - zażartowała.

- Byłaś tam? - Tym razem Quentin się zdziwił. - Rzeczywiście często je odwiedzam. Za każdym razem, kiedy jestem w Genewie, rezerwuję sobie trochę czasu na obejrzenie ekspozycji.

- Ja tam byłam, kiedy podróżowałam z tatą po Europie.

- Te meble kupiłem od handlarza antykami. Oprócz łóżka. Łóżko kupiłem na aukcji. Anonimowo.

- Robi wrażenie. - Elizabeth podeszła do łóżka. -Wiesz, ile ma lat?

- Pochodzi z końca dziewiętnastego wieku.

- Musiałeś je poddać renowacji? - Przesunęła dłonią po drewnianym wezgielcu. Quentin na krok jej nie odstępował.

- Było w doskonałym stanie.

- Kunsztownie rzeźbione - powiedziała. Miała pełną świadomość jego obecności, czuła, jak narasta w niej napięcie. Mimo tego starała się podtrzymać rozmowę.

- Bardzo oryginalne.

Czy to złudzenie, czy rzeczywiście jego głos stał się odrobinę głębszy? Elizabeth wpatrywała się w rzeźbioną ramę łóżka jak urzeczona.

- Pewnie kosztowało majątek.

Quentin znajdował się bardzo blisko, za blisko. I blokował odwrót.

- Owszem, ale lubię rzeźbione meble.

Przesunął palcem po artystycznych żłobieniach gładkiego drewna, a potem położył dłoń na jej dłoni spoczywającej na wezłowskiu łożu.

W żarze emanującym z jego ciała Liz topiła się jak masło na słońcu. Wpatrywała się w dłoń Quentina. Nie była w stanie odwrócić wzroku, ani tym bardziej cofnąć ręki.

- To musiał być naprawdę dobry rzemieślnik - mówił cicho Quentin. - Stworzył coś niewiarygodnie pięknego.

Elizabeth bała się, że dłużej tego nie wytrzyma', i właśnie wtedy Quentin zabrał rękę. Ale nim zdążyła odetchnąć, jego dłonie znalazły się na jej ramionach, a twarz wtuliła się w jej włosy. Pocałował ją delikatnie w policzek.

Zabrał jej jedną kulę i rzucił na łóżko. Potem objął ją w pasie, przytrzymując, żeby nie upadła.

Poczuła na plecach chłodny powiew, zrozumiała, że rozpiął suwak. Wsunął dłonie pod luźną teraz bluzkę i położył je na piersiach Liz. Usłyszała, jak wciąga powietrze, spojrzała mu w oczy.

- Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak na mnie działasz? - zapytał. Opuścił wzrok na jej piersi okryte delikatną koronką stanika, jedyną osłoną przed palącym wzrokiem Quentina. A potem dotknął wargami jej piersi, a raczej osłaniającej ją cienkiej koronki.

Elizabeth jęknęła. Jakby z oddali doleciał do niej odgłos padającej na dywan kuli. Teraz jedyną jej podporą pozostały ramiona Quentina.

Położył ją na łóżku i położył się na niej. Jego ręce pieściły, głaskały, rozpałył namiętność. Zdjął jej stanik, odsłonięte piersi dotykały jego nagiego torsu.

Elizabeth pragnęła go i pragnęła jego miłości, najlepiej na zawsze. Chciała go do siebie przytulić, ale Quentin pokręcił głową.

- Jeszcze nie - mruknął. - Najpierw musimy się tego pozbyć.

Rozpiął spódnicę Elizabeth, zsunął ją ostrożnie, żeby nie urazić zwichniętej kostki.

Czuła się całkiem bezbronna, kiedy tak leżała wydana na pastwę jego spojrzenia, bez żadnego ubrania, które mogłoby ukryć niedoskonałości jej ciała. Leżała bez ruchu, czekając na jego reakcję. Zdumiona, zobaczyła, że się uśmiecha.

- Masz taki sam kolor włosów... wszędzie - powiedział. - Bardzo byłem ciekaw...

Zaczerwieniła się, ale on prędko ją pocałował, a potem zaczął pieścić.

- Quentin - szepnęła.

- Chcę, żebyś powiedziała „tak” - strofował ją żartobliwie. - Powiedz „tak”, skarbie. Możesz to dla mnie zrobić?

Racjonalne myślenie w tych warunkach było całkiem niemożliwe. Jeszcze nigdy nie była tak podniecona. Zrobiłaby wszystko, byleby tylko nie przestawał.

- Tak, tak, tak! Proszę cię, Quentin! - krzyknęła w ekstazie.

I właśnie wtedy rozległ się ten dźwięk, niemożliwy do pomylenia z żadnym innym: trzaśnięcie drzwi wejściowych.

- Halo! - wołał z holu kobiecy głos. - Quentin! Jesteś tam?

- A niech to szlag trafi ! Niech to wszyscy diabli ! - klął pod nosem Quentin.

- Kto... - chciała spytać Liz, ale głos odmówił jej posłuszeństwa.

- Muriel. Moja gospodyni - obwieścił głos Quentina przytłumiony poduszką.

- Rany! - Liz próbowała mu się wyrwać, lecz Quentin ją przytrzymał, nie pozwolił jej nawet usiąść.

- Jestem na górze, Muriel - zawołał. - Za chwilę zejdem na dół.

Dopiero potem uwolnił Liz od swego ciężaru i nawet pomógł jej wstać.

Wpatrywała się w jego muskularne ciało. Był po prostu rewelacyjny!

- Nie patrz tak na mnie, skarbie, bo skończę to, co zacząłem. Nieważne, czy Muriel przy tym będzie, czy nie.

Spuściła wzrok, rozejrzała się po podłodze w poszukiwaniu części swojej garderoby.

- Proszę - podał jej stanik i majtki. - Leżały na podłodze.

- Dzięki - mruknęła, odbierając od niego bieliznę.

- Czarna satyna, model „Sekret Victorii” - skomentował Quentin, wciągając spodnie.

- Nigdy bym cię o to nie podejrzewał.

- Przestań - prosiła, czerwona jak burak. Zazdrościła mu siły woli, zazdrościła szybkości, z jaką się pozbierał, kiedy w domu pojawiła się Muriel.

Usiadł obok niej na łóżku, podniósł do góry jej głowę, żeby musiała na niego spojrzeć.

- Masz najpiękniejszy rumieniec na świecie. - Popatrzył na dół. - I zadziwiająco bardzo nisko się kończy.

- Irlandzka krew - westchnęła Elizabeth, odwracając głowę. - Nie wszyscy mieliśmy szczęście urodzić się z twarzą pokerzysty.

- No i bardzo dobrze - uśmiechnął się.

Aż podskoczyła, kiedy poczuła na dekolcie jego pocałunek.

- Chciałem tylko sprawdzić - tłumaczył się z łobuzerskim uśmiechem - czy naprawdę jesteś taka gorąca, jak na to wyglądasz.

Elizabeth chwyciła poduszkę. Zamierzała go uderzyć w tę roześmianą twarz, ale Quentin złapał poduszkę, zanim dosięgła celu.

- Ubieraj się - powiedział. - Zagadam Muriel i zaraz wrócę. Pomogę ci zejść na dół.

Wyszedł. Liz się ubrała, tak starannie, jak to tylko było możliwe. Rozczesała włosy, pociągnęła wargi szminką. Ubranie miała trochę pogniecione, ale na to już nic nie mogła poradzić.

Myślała o tym, co się tu przed chwilą stało. A raczej, co się nie stało dzięki przybyciu Muriel. Najpierw była zła na Quentina za jego władczy ton, za traktowanie jej z góry, jakby była małym, głupim dzieckiem. A zaraz potem poszła z nim do łóżka. Prawie to zrobiła.

Muszę uważać i panować nad sobą, pomyślała. Quentin wyraźnie powiedział, że to ma być małżeństwo z rozsądku, że innego sobie nie życzy. Nie mogę o tym zapomnieć, bo będzie bolało.

Muriel była miłą, pulchną kobietą około sześćdziesiątki. Miała siwe włosy i nosiła okulary zaczezione na zwisającym z szyi łańcuszku.

- A więc to Allison cię przysłała - mówił Quentin, cedząc słowa.

- Ależ oczywiście, kochaniutki. Dzwoniła do mnie z godzinę temu. Powiedziała mi, że Liz się przewróciła, a ty zawioźlesz ją do lekarza. No to zadzwoniła do lekarza. Od niego się dowiedziała, że masz zamiar przywieźć Liz do siebie i w te pędy zadzwoniła...

Liz dostrzegła pocieszoną minę Quentina. Zaciśnęła zęby, by nie wybuchnąć śmiechem.

- Zadzwoniła do mnie - ciągnęła Muriel - i powiedziała, że mam zaraz jechać, bo ktoś się musi zaopiekować Liz. Ty pewnie wracasz do pracy...

Quentin miał pewne podejrzenia co do intencji siostry, ale wołał na razie zachować je dla siebie.

- Owszem, wracam - mruknął. Podrapał się po głowie.

Muriel i Celine często grywały razem w brydża. Mógłby się założyć o dom, że Muriel była w zмовie nie tylko z jego siostrą, ale i z sekretarką.

- No to jadę - powiedział. - Po drodze do domu wpadnę do Elizabeth po jej rzeczy.

- Doskonale! - ucieszyła się Muriel, jakby jej zaproponowano wysoką premię. Podeszła do wspartej na kulach Liz, pomogła jej usiąść na krześle. - Zrobię mrożonej herbaty, dobrze? A potem posadzimy cię w gabinecie Quentina. Będziesz tam miała telefon, fax i wszystko, co zechcesz.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Siedzieli we trzech w pubie u Earla i popijali piwo.

- W kuchni mam Matkę Teresę, w biurze jej partnerkę od brydża, a wszędzie Kobiecą Służbę Patrolową Whitta-kerów - żalił się braciom Quentin.

Matt roześmiał się.

- Dobrze, że chociaż Fred cię nie podgląda - powiedział Noah.

Elizabeth mieszkała u Quentina ponad tydzień. W tym czasie matka Quentina, jego siostra, Celine i Muriel robiły wszystko, aby ani na chwilę nie zostawić ich samych.

- Prawdę mówiąc, jestem zaskoczony - odezwał się Matt. Opierał się łokciami o kontuar, w obu dłoniach trzymał kufel z piwem i przyglądał się rzędom butelek ustawionym wzdłuż lustrzanej ściany. - Czy to ta pogoda sprawia, że wszyscy jesteście tacy podenerwowani, czy może co innego?

- Jak myślisz - Quentin zwrócił się do Noaha - czy on zwariował?

- Nie. - Noah uśmiechnął się leniwie. - Raczej za bardzo się poobijał, kiedy kopaliśmy go w tyłek.

- Oczywiście, nie rozumiecie. - Matt spoglądał na nich z wyższością. - Pozwólcie, że wam to wytłumaczę. Wszystkie one: Muriel, Celine, Allison i mama od lat są takie same. W zeszłym tygodniu były takie same i dwa tygodnie temu też. Nawet trzy tygodnie temu i jeszcze dużo, dużo wcześniej. Dlaczego akurat teraz zaczęły ci przeszkadzać, Quent? Czym się ten tydzień różni od poprzednich?

- Matt - zaczął Quentin powoli, jakby mówił do dziecka - Muriel rozbiła się obozem w moim własnym domu.

- Słyszałem. - Matt wzruszył ramionami. - I co z tego?

- Od rana urzęduje w kuchni. Kiedy schodzę na dół, smaży naleśniki, potem kręci się po całym domu, a wieczorem ogląda telewizję. Ta kobieta nigdy nie zasypia!

- Ucina sobie drzemkę po południu, kiedy ty jesteś w biurze - podpowiedział mu Noah.

- No właśnie! - Quentin dał znak barmanowi, żeby przyniósł jeszcze jedną kolejkę. - Allison dzwoni co wieczór.

Ledwie zdążył pomyśleć, że wreszcie ma Elizabeth wyłącznie dla siebie, jego siostra natychmiast dzwoniła. Wkurzony na cały świat słuchał, jak Elizabeth plotkuje z jego siostrą, jak co chwila wybucha śmiechem.

- Nie zazdrozczę ci, braciszku - westchnął współczująco Noah.

Quentin miał nadzieję, że w sobotę pozbędzie się ochrony, bo tego dnia Celinę i Muriel zwykle chodziły na brydża. Owszem, ich nie było, ale za to zjawiała się Allison. Z pizzą.

Niemal zacierał ręce w poniedziałek, bo Muriel wyznała ze smutkiem, że oboje z Fredem muszą pójść na mszę. Ale właśnie wtedy zadzwoniła do niego mama i poprosiła, żeby wpadł do niej, wracając z pracy, po jakieś książki dla Elizabeth. Oczywiście musiał pojechać okrężną drogą, wypić kawę z mamą, opowiedzieć jej o interesach... Cała operacja zajęła tyle czasu, że gdy wreszcie dotarł do domu, Elizabeth już smacznie spała.

Nigdy się nie łudził, że rozumie kobiety, ale po prawie trzydziestu latach posiadania młodszej siostry zaczął się orientować w niektórych zawiłościach ich umysłów. Był absolutnie pewien, że mama, Allison i Muriel z premedytacją blokują mu dostęp do Elizabeth. Widocznie zaczęły coś podejrzewać i choć nie mogły nic wiedzieć o jego umowie z Elizabeth, to domyślały się dosyć, żeby uznać, że trzeba ją chronić. Był pewien, że to Allison specjalnie dla niego wymyśliła tę torturę. Miał mieszkać z Elizabeth pod jednym dachem, ale nie wolno mu było jej dotknąć!

- Trzymają Liz pod kluczem, co? - domyślił się Noah, wrywając go z zamyślenia.

- Na to wygląda, choć trudno w to uwierzyć - mruknął Quentin. Ale zaraz opanował się i jak gdyby nigdy nic wzruszył ramionami. - Zresztą, co mnie to obchodzi.

Obchodziło!

- Twój zły humor nie ma nic wspólnego z Lizzie, prawda, braciszku? - dopytywał się Matt.

Quentin nie wspomniał braciom o umowie, jaką zawarł z Elizabeth. Wiedzieli, że coś się święci, ale o nic go nie pytali, co także było niepojęte. Zupełnie nie w ich stylu.

- Ona mi się nie naprzykrza. - Quentin pokręcił głową. Akurat. Oczywiście, że mu nie przeszkadzała, ale sama jej obecność w domu doprowadzała go do szału. Trudno było spokojnie spać, kiedy się wiedziało, że jest w sąsiednim pokoju i pewnie ma na sobie strojną bieliznę, którą przywiózł z jej domu...

- Czwarty Lipca wypada w poniedziałek - oznajmił rzeczowo Matt. - Mógłbyś ją zabrać na koncert.

- Myślisz, że będzie chciała siedzieć na trawie, słuchać Boston Pops i oglądać sztuczne ognie? - spytał ponuro Quentin, upiwszy wielki łyk piwa.

- Kobiety to uwielbiają - zapewnił go Matt.

- To pewne jak „amen” w pacierzu - wtórował mu Noah. - Spokojnie możesz pakować kosz piknikowy. Tylko nie zapomnij zabrać butelki chardonnay.

- Dobra. - Quentin wyraźnie się ucieszył. Zamierzał zaprosić Elizabeth na świąteczny koncert w parku, ale nie był pewien, czy to dobry pomysł. Teraz nabrał pewności.

- Muszę lecieć - mruknął Noah, rzuciwszy na kontuar kilka banknotów.

- Zaczekaj - zatrzymał go Quentin.

- No?

- Jeżeli ty lub Allison „przypadkiem” zjawicie się na poniedziałkowym koncercie, to będę zmuszony was zabić.

- Jasne - uśmiechnął się Noah. - Zawiadomię kogo trzeba.

Sobotni wieczór. Nie do wiary, ale Muriel wyszła przed ósmą. Podobno miała pomóc Fredowi powiesić półki.

Już to widzę, pomyślał Quentin. Nie nabierze mnie na te swoje sztuczki. Ciekawe, jaki mają plan na dzisiaj. A może zdjeli posterunki? Może Noah powtórzył Allison ostrzeżenie i w końcu dadzą mi święty spokój? Niemożliwe! Nie dam się nabrać! Nie będę tańczył, jak mi zagrają! Niedoczekanie!

No więc był w domu zupełnie sam z Elizabeth. Siedziała w jego gabinecie i pewnie pracowała.

I niech tak zostanie, pomyślał. Oddam jej swoje miejsce pracy na dzisiaj wieczór.

Rozsiadł się wygodnie na sofie z puszką piwa w dłoni. Przeglądał raporty departamentów i jednym okiem zerkał, jak grają Boston Red Sox.

Zadzwonił telefon. Quentin włączył bezprzewodową słuchawkę, która leżała obok niego na sofie.

- Halo?

- O? Cześć, Quentin - rozległ się w słuchawce nieco zdziwiony głos.

- Coś nie w porządku, siostrzyczko? - spytał Quentin. - To ciągle jeszcze mój dom.

- Oczywiście, Quent. I nie wygłupiaj się. Wcale się nie dziwię, tylko myślałam, że Lizzie odbierze telefon. Przyzwyczaiałam się już, że zawsze mogę ją złapać pod tym numerem.

Quentin położył nogi na niskim stoliku. Nareszcie nadszedł dzień zapłaty!

- Za wczesnie zadzwoniłaś.

- O czym ty mówisz? Czy Liz jest u ciebie? Daj ją do telefonu, dobrze?

- Mówię o tym, że nie złapałaś nas in flagranti. Jeszcze nie. - Popatrzył na zegarek. - Zadzwonź za godzinę.

- Quentin!

- Żegnam cię, Ally.

- Quentin, zaczekaj!

- Daję ci pięć sekund.

- No dobra, przejrzałaś mnie - westchnęła dramatycznie Allison. - I co mam teraz zrobić? Złożyć samokrytykę? Obiecuję, że już nigdy nie będę się wtrącać.

- Nie składaj obietnic, których nie potrafisz dotrzymać.

- Dobrze, już dobrze. Tylko pamiętaj, braciszku, jesteś teraz w domu sam z Liz. Mam nadzieję, że nie zawiedziesz mojego zaufania.

- W przeciwieństwie do rozpowszechnionych przekonań nie jestem zdeprawowanym bydlakiem - powiedział Quentin. - Podobno nawet istnieją kobiety, które mnie lubią. O ile dobrze pamiętam, używano takich słów, jak „czarujący” i „prawdziwy dżentelmen”. Chociaż z drugiej strony, to mogą być tylko złośliwe plotki.

- Akurat ty nie powinienes wierzyć plotkom! - roześmiała się Allison.

- No, tak - zgodził się Quentin. - Masz rację.

- Uważaj na Liz, bardzo cię proszę - powtórzyła Allison, po czym się rozłączyła.

Quentin też odłożył słuchawkę, wstał i poszedł do kuchni po chipsy do piwa.

Ironia losu, pomyślał. Siedzę w sobotni wieczór w domu przed telewizorem sam, nie licząc piwa i chipsów. Chyba rzeczywiście prowadzę nudny żywot. Nudniejszy nawet niż moje rodzeństwo i na pewno mniej ciekawy, niż się wydaje Elizabeth.

Znów usiadł na kanapie i zabrał się do czytania raportu. A kiedy go przeczytał, postanowił przestudiować raport tego samego menedżera, tyle że dotyczący ubiegłego miesiąca. Żeby otrzymać pełny obraz, należało ułożyć zdarzenia w porządku chronologicznym. Niestety nie miał raportu w teczce. Widocznie zostawił go na biurku w swoim gabinecie.

Stanął niepewnie w progu pokoju, który przez lata służył do pracy wyłącznie jemu. Blask lampy oświetlał blat biurka; reszta pokoju pozostawała w cieniu. Elizabeth coś czytała. Włosy upięła do góry, tylko kilka pasemek wysunęło się spod grzebienia, okalając jej bladą twarz. Okulary na nosie i zmarszczka na czole zdradzały, że jest bardzo skupiona. Wyglądała naprawdę ślicznie. Quentin poczuł ukłucie w sercu, a zaraz potem ogarnęła go dziwna czułość.

- Uważaj, bo zrobią ci się zmarszczki - ostrzegł żartobliwie.

Wzdrygnęła się.

- Przestraszyłeś mnie - powiedziała, spoglądając na niego znad lektury.

- Przepraszam. - Quentin wszedł do pokoju. - Przyszedłem po raport. Gdzieś go tu posiałem.

Liz przypomniała sobie o okularach i pośpiesznie je zdjęła. Po raz pierwszy została przyłapana z okularami na nosie.

- Nie zdejmuj okularów z mojego powodu - poprosił ubawiony jej reakcją Quentin.

- No cóż, odkryłeś moją straszliwą tajemnicę - sięgnęła po etui.

Przestał przewracać papiery na biurku i popatrzył na nią.

- Właściwie to dobrze, że je zdjęłaś...

Wiedziała, jak wygląda w okularach, i naprawdę nikt nie musiał jej o tym opowiadać.

- ...ponieważ kobiety w okularach bardzo mnie pociągają.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Widzę, że znów cię zaskoczyłem. Przypomniała sobie, co się zdarzyło, kiedy po raz pierwszy zobaczyła jego sypialnię, i krew napłynęła jej do twarzy.

- Nareszcie. - Wyjął spośród dokumentów kilka spiętych spinaczem kartek. Usiadł na fotelu nieopodal Elizabeth. - Nie zapytasz mnie, dlaczego?

- Co „dlaczego”? - Udawała, że zdejmuje nitkę z szortów.

- Dlaczego pociągają mnie kobiety w okularach.

- Pewnie masz po temu powody - powiedziała uprzejmie. - Podobno mężczyźni wcześniej się orientują, jaki typ kobiet najbardziej im odpowiada.

Oparł dłonie na udach, pochylił się lekko.

- Długo się nad tym zastanawiałem - mówił, nie spuszczać z niej wzroku - i doszedłem do wniosku, że najpewniej chodzi o to, że okulary świadczą o inteligencji.

- Czy ja wiem...

- A także w pewnym sensie prowokują mężczyznę do zdjęcia pierwszej warstwy, do sprawdzenia, co się pod nią kryje. Czy okularnica jest tylko skromną intelektualistką, czy może potrafi również być namiętna? Oto cała tajemnica.

- Rozumiem.

- Zawsze lubiłem przesiadywać w bibliotece - uśmiechnął się. - Tyle tam zaczytanych okularnic...

- Czułeś się jak lis w kurniku?

- Właśnie - Quentin roześmiał się.

- A te wszystkie kobiety, z którymi fotografują cię reporterzy? Żadna z nich nie nosi okularów.

- Nie nosi - znów się roześmiał. - Nie jestem zbyt wybredny, jeśli chodzi o damskie towarzystwo na piątkowe wieczory. Biorę ze sobą tę, która akurat jest pod ręką i ma ochotę uczestniczyć w moich nudnych obowiązkach towarzyskich.

- I przypadkiem „te, które akurat są pod ręką” pochodzą z bogatych arystokratycznych rodzin.

- Naprawdę rzadko ma znaczenie, czy kobieta jest w moim typie. - Westchnął i ruchem głowy wskazał dokumenty, które odłożyła, gdy wszedł. - Praca?

- Tak - uśmiechnęła się Liz. - My, mole książkowe, wiele sobotnich wieczorów poświęcamy pracy.

- My, playboye, tak samo - wyznał z uśmiechem Quentin. - Ja siedzę nad papierami przed telewizorem w sąsiednim pokoju.

- Nie wiedziałam...

- Może posiedzimy razem? - Rozejrzał się po gabinecie. - Miło jest czasami zmienić otoczenie.

Propozycja była kusząca. Liz właściwie nie miała powodu, żeby odmówić, więc się zgodziła. Quentin przeniósł jej rzeczy do sąsiedniego pokoju, a ona sama, wsparta na kulach, pokuśtykała za nim.

Quentin usadowił ją w fotelu i wyłączył dźwięk w telewizorze. Mógł w ten sposób mieć oko na to, co się dzieje na boisku, a odgłosy gry nie przeszkadzały w pracy ani jemu, ani Elizabeth.

- A tak przy okazji - powiedział - w poniedziałek jest Czwarty Lipca. Zamierzam pójść na koncert Boston Pops. Nie miałabyś ochoty wybrać się ze mną?

Powiedział to tak obojętnie, że chwilę trwało, nim Liz pojęła, o co mu chodzi. Dopiero co zastanawiała się nad tym, czy jej wypadek nie zakłócił harmonogramu ustalonych wcześniej czterech randek, więc teraz było jej miło, kiedy się okazało, że Quentin zamierza zrealizować ustalony wcześniej plan.

- Bardzo chętnie - zgodziła się bez wahania. Ponad godzinę pracowali w kompletnym milczeniu.

Dochodziła dziewiąta, gdy Liz się zorientowała, że bezmyślnie wpatruje się w przestrzeń. Zdjęła okulary.

- Jakiś problem? - zapytał Quentin.

- Nie - pokręciła głową. - Usiłuję sobie wyobrazić, jak będzie wyglądała kuchnia Lorimerów w odcieniach żółci i błękitu. I w jaki sposób zmieścić tam wyspę, dwa zlewy i szafkę w ścianie.

- Mam pomysł - pochwalił się Quentin. - Namów pana Lorimera na większy dom.

- Jego żona już próbowała. On nawet nie może zrozumieć, dlaczego żona koniecznie chce mieć wszystkie urządzenia kuchenne w kolorze zieleni awokado.

- Zlew to zlew i koniec - stwierdził Quentin, uśmiechając się. - A tak poważnie, w czym problem? Czyżby żeliwne zlewy nie były znowu w modzie? Jeśli nawet nie teraz, to za kilka lat sąsiedzi będą się ustawiać w kolejce, żeby zobaczyć jej kuchnię i urządzić swoje według tego wzoru.

- Moda retro? - domyśliła się Elizabeth.

- No właśnie.

- Niestety, to się nie uda - westchnęła komicznie. - Urządzenia kuchenne nie stają się znowu modne, tak jak odzież. Słyszałeś, żeby ktoś chciał zamienić pralkę na tarę?

- No tak, chyba masz rację. - Quentin zerknął na telewizor. Wynik był już właściwie przesądzony.

- Nawet na pewno.

- No to może zrobisz dwie kuchnie. Jedną dla niej, drugą dla niego.

- Idiotyczny pomysł.

- No, nie wiem. - Przeciągnął się. - Człowiek ma prawo czasami pourzędować w kuchni bez nadzoru.

- Nie przypuszczam...

- No to zrób przybudówkę - przerwał jej, nie spuszczać oka z telewizora. - Może kuchnia ma jakąś ścianę szczytową?

- Już o tym myślałam. - Liz pokręciła głową. - Za domem mają dziedziniec, a wzdłuż domu biegnie podjazd. Nie ma gdzie postawić przybudówki.

- No to zlikwiduj jakąś szafę ścienną - poradził Quentin. - Rozbij ze dwie ściany i zrób z nich spiżarnię. Małżonek będzie szczęśliwy, bo i tak uważa, że żona ma stanowczo za dużo ciuchów. A ona będzie taka przejęta ideą powiększenia kuchni, że zapomni o szafie, z której będzie musiała zrezygnować.

- A wiesz, że to dobry pomysł - stwierdziła Liz po chwili zastanowienia. - Do kuchni przylegają dwie szafy ścienne.

- W przyszłym roku pani Lorimer namówi męża, żeby powiększyć inną część domu i zrobić tam porządną dużą garderobę. I w ten sposób dostaniesz kolejne zlecenie.

Ten pomysł był naprawdę świetny. Już miała mu to powiedzieć, ale zapatrzyła się na to, co się działo na ekranie telewizora.

- Szybko! Włącz dźwięk! Zdaje się, że Red Sox zdobyli punkt!

Quentin zerwał się z kanapy, chwycił pilota i włączył dźwięk.

- Naprzód, chłopaki! - zagrzewał zawodników sprawozdawca. - Piłka meczowa. Red Sox 4, Orioles 2. Wracamy zaraz po reklamach.

- Nie wiedziałem, że oglądasz - Quentin popatrzył na Liz.

- Po prostu udawałam lepiej niż ty.

- Przepraszam - uśmiechnął się. - Przysięgam, że myślałem też o kuchni pani Lorimer. Mam podzielną uwagę.

- A ja właśnie miałam ci powiedzieć, że z tą szafą to genialny pomysł. Wielkie dzięki.

- Zawsze do usług - skłonił głowę z rewerencją. Uśmiechnęli się do siebie w tym samym momencie. Liz pomyślała, że dobrze się czują ze sobą, choć tak mało o sobie

wiedzą. W każdym razie ona niewiele wiedziała o Quentinie. Dotąd nie powiedziała ani słowa o Vanessie. A przecież zamierzała mieć wspólne dziecko i Liz miała prawo wiedzieć, dlaczego zerwał zaręczyny, co takiego się stało, że zaryzykował skandal. Postanowiła go o to spytać wprost. Najlepiej zaraz.

- Quentin? - zaczęła.

- Tak? - spytał, nie odrywając oczu od ekranu. Widocznie uznał, że skoro Elizabeth go rozszyfrowała, to nie musi już więcej ukrywać podzielności uwagi. Liz wzięła głęboki oddech.

- Co właściwie zaszło pomiędzy tobą a Vanessa?

- Słucham? - nie zrozumiał.

- Dlaczego zerwałeś zaręczyny? - Quentin spojrzął na ekran. Westchnął.

- Koniec meczu. - Wyłączył odbiornik.

Liz poprawiła się w fotelu. Nie żałowała tego pytania. Najgorsze, co mogła usłyszeć, to żeby nie wtykała nosa w cudze sprawy, choć miała nadzieję, że będzie inaczej. Nie chciała, by miły wieczór zakończył się nieprzyjemnym zgrzytem i to z jej powodu.

- Przekonałem się, że ona nie kocha mnie, tylko moje pieniądze - odezwał się Quentin po chwili milczenia. - Pieniądze i pozycję żony Quentina Whittakera.

A więc w końcu to z siebie wyrzucił. Nigdy wcześniej nie mówił nikomu o przyczynach zerwania z Vanessa. Nawet bracia nie wiedzieli.

Nie poczuł upokorzenia ani nawet goryczy, jakie zwykle towarzyszyły wspomnieniu Vanessy. Emocje zbladły, były tylko słabym echem tego, co gnębiło go przed laty.

- Skąd o tym wiesz? - dopytywała się Liz. - Chyba nie powiedziała ci wprost, że wychodzi za ciebie za mąż dla pieniędzy?

- Nie bądź tego taka pewna - mruknął.

- Nie rozumiem. - Zdezorientowana Elizabeth wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Podczas jednego z tych eleganckich przyjęć, które Vanessa tak uwielbiała, podsłuchałem jej rozmowę z przyjaciółką. Stałem na tarasie. - Wzruszył ramionami. - One o tym nie wiedziały.

- Rozumiem.

- Nie rozumiesz. - Przesunął dłonią po włosach. - Okazało się, że byłem tylko grubą rybą, którą udało jej się złowić, zanim wyczerpał się jej fundusz powierniczy. - Quentin zaśmiał się gorzko. - Vanessa miała kosztowne gusta.

- Tak mi przykro.

- Niepotrzebnie - pokręcił głową. - Rodzina i przyjaciele próbowali mnie przed nią ostrzec, ale nie dawałem im wiary. Na dobrą sprawę mam szczęście, że sztydło wyszło z worka przed ślubem.

- Ale chyba czuła coś do ciebie?

Skoro już zaczął, to równie dobrze mógł jej opowiedzieć wszystko.

- Zamierzała po ślubie zejść się ze swoim dawnym kochankiem. Nie miałyby z tym kłopotu. Ja pracuję do późna, więc miałyby dużo wolnego czasu.

Liz patrzyła na Quentina. Metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, przystojny jak marzenie... Nie umiała sobie nawet wyobrazić, że mogłaby chcieć kogokolwiek innego, gdyby mogła mieć właśnie jego.

Cóż to za straszne upokorzenie, tym bardziej że inni wiedzieli, lub przynajmniej podejrzewali, tylko on jeden był ślepy!

- Nudny pracoholik. Tak powiedziała. - Uśmiechnął się nieoczekiwanie. - Nawet nie bardzo się pomyliła - popatrzył wymownie na Elizabeth - chociaż niektórym się zdaje, że jestem niepoprawnym playboyem.

Liz poczuła, że się rumieni. Ale skąd miała wiedzieć, jaki jest naprawdę?

- No, teraz już wiesz wszystko.

- Tak. - Trochę się wstydziła swego wścibstwa, a jednak coś jej kazało spytać: - Dlaczego uważasz, że to, co robimy, jest inne? Przecież nasza umowa zakłada, że ja też wiąże się z tobą dla pieniędzy.

- Nie ma w tym nic złego, jeśli obie strony zdają sobie z tego sprawę. Po przygodzie z Vanessa doszedłem do wniosku, że to wcale nie jest taki zły układ. Pod warunkiem, że od początku określili się jasno reguły gry.

- Bardzo cyniczne podejście, nie sądzisz?

- Widzisz, nawet jeśli rzeczywiście istnieje na świecie taka miłość, o jakiej piszą w romansach, to nie każdy ma szczęście ją przeżyć. Pokażna część ludzkości na pewno byłaby bardziej szczęśliwa, gdyby traktowała małżeństwo jak umowę handlową.

A więc stąd się wziął jego genialny pomysł splotzenia dziecka ze mną, pomyślała Liz. To najzwyczajniej w świecie jeden z elementów povanessowskiego podejścia do spraw miłości i małżeństwa. Reprezentacyjna żona, zdrowe dziecko, bez głupiej miłości, bez niepotrzebnych złudzeń...

- A tak w ogóle - powiedział, wyrrywając ją z zamyślenia - to nieprawda, że jesteś taka sama, jak Vanessa. Ty nie masz kochanka.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W poniedziałkowy wieczór Quentin i Elizabeth siedzieli w parku Esplanada nad Charles River w Bostonie na kocu, który Muriel wydobyła z jakiegoś pawlacza, i czekali, aż się zacznie doroczny koncert z okazji święta Czwartego Lipca.

Przy pomocy Muriel Liz przygotowała kanapki, sałatkę i kurczęta w sosie estragonowym. Na deser upiekła ciasto z owocami.

Quentin żartował z niej, że zrobiła prawdziwą ucztę, zamiast paru zwykłych kanapek, więc odpłaciła mu pięknym za nadobne, podśmiewając się z butelki chardonnay, którą on wziął ze sobą.

Odkąd kilka dni temu poznała przyczyny cynicznego podejścia Quentina do kobiet, zastanawiała się, czy przypadkiem nie porwała się z motyką na słońce. Chociaż z drugiej strony, teraz przyszłość wyglądała nieco lepiej. Na pewno nie groziło jej, że Quentin się zakocha i zechce się ożenić z inną kobietą.

A nawet gdyby, pomyślała, to będę się tym przejmować, kiedy problem już się pojawi. W końcu jeszcze się nie zdecydowaliśmy, czy będziemy mieli razem dziecko, czy nie. W każdym razie dziś nie zamierzam się niczym przejmować i chcę się dobrze bawić.

Wieczór był pogodny i bardzo ciepły.

- Tu jest fantastycznie - powiedziała, obciążając sukienkę.

Quentin popatrzył na nią. Leżał na kocu z rękami pod głową i obserwował wieczorne niebo. Był wypoczęty i odprężony.

- Nigdy wcześniej nie byłaś na takim koncercie? - spytał.

- Nigdy. Kiedy zamieszkaliśmy z tatą w Carlyle, wszystkie wakacje spędzałam u ciotki Kathleen na wybrzeżu Jersey. A kiedy trochę podrosłam, zawsze spędzałam lato w taki sposób, że na nic nie miałam czasu.

- To znaczy w jaki?

- No wiesz, pilnowałam dzieci, sprzedawałam lody albo pracowałam w wypożyczalni rowerów.

- Stałaś za ladą w lodziarni? - zdziwił się Quentin.

- Jasne. Miałam taki śmieszny fartuszek w paski.

- Wyobrażam sobie - uśmiechnął się.

- W college'u wszyscy podziwiali moje lodowe desery - powiedziała, udając, że patrzy na niego z góry.

- Nie mów. - Jego uśmiech zrobił się jeszcze szerszy. Wziął ją za rękę i zaczął rysować małe kółeczka na dłoni, wywołując tym masażem rozkoszny dreszcz.

- Robienie lodów wcale nie jest trudne. Najtrudniejsze w tym wszystkim jest osiągnięcie właściwej konsystencji.

- Umiesz gotować...

- Ciotka Kathleen mnie nauczyła. Tata jest wspaniały, ale w kuchni nie bardzo sobie radzi.

Patrzył na nią, milczał, rysował palcem kółka na jej dłoni.

- Jesteś bardzo związana ze swoim tatą - stwierdził w końcu.

- Tak, ale to dość skomplikowany związek.

- A są inne?

- Staralam się zastąpić mu syna.

- Rozumiem. - Quentin przypomniał sobie wszystko, co wiedział o Patricku Donovanie. Potężny Irlandczyk, właściciel małej firmy budowlanej, obecnie emeryt. Kilka razy zetknęli się służbowo. Dość, żeby Quentin mógł się zorientować, że Patrick jest dobry w swoim fachu.

Liz spojrzała na tłum, który znacznie zgęstniał w ciągu minionej godziny.

- Najgłupsze w tym wszystkim jest to, że tata chciał mieć córkę. Zawsze ubierał mnie w koronki i falbanki. Byłam jego małą dziewczynką, którą trzeba było się opiekować. Trochę przesadził z tą ochroną. Chciałam, żeby wreszcie uznał, że dorosłam do samodzielności.

Ach, więc tu ją boli, pomyślał Quentin. Nigdy bym na to nie wpadł.

- Trudno wymagać od człowieka, który stracił żonę, żeby nie był nadopiekuńczy wobec swojej córeczki.

- Tak - westchnęła Liz. - Ja też w końcu to zrozumiałam.

- Dlatego postanowiłaś założyć własną firmę? Czy to miało być swego rodzaju wybicie się na niepodległość?

- Częściowo tak. - Liz skinęła głową. - Ale poza tym dojrzałam na tyle, żeby uniezależnić się od dużego biura projektowego. Mam własne pomysły i chcę je realizować.

Nie wiedziała, dlaczego tyle mu o sobie mówi. Przecież rozmawiali o lodach. Dlaczego nagle zaczęła obnażać przed nim duszę?

- Martwisz się czymś? - spytał, przesuwając palcem między brwiami Liz.

Spróbowała się uśmiechnąć. Od wielu lat nie analizowała swoich dziecięcych uczuć. Zresztą, czym innym było myśleć o tym, a zupełnie czym innym mówić o nich głośno.

- W porządku - powiedział Quentin, jakby odgadł, o czym myśli. - Każde dziecko czegoś się boi.

Popatrzyła na niego. Był taki silny, potężny, opanowany.

- Naprawdę? A czego ty się bałeś?

- Ja? Chyba teraz już mogę się do tego przyznać. Bałem się, że w interesach nigdy nie dorosnę do pięt swojemu ojcu. - Delikatnie głaskał ją po głowie. Liz miała wrażenie, że zaraz zacznie mruzczyć, takie to było przyjemne. - My, synowie, także mamy problemy.

- Dziwne...

- Zdaje się, że twój tata miał małą firmę budowlaną. Sprzedał ją, o ile dobrze pamiętam.

Zamrugła powiekami, starając się skupić uwagę na rozmowie.

- No, tak. Sprzedał, zanim przeszedł na emeryturę. - Sprzedał firmę większemu konsorcjum, które później przejął holding stworzony przez Quentina i kilku jego pomniejszych partnerów. Quentin zdał sobie sprawę, że Liz nie ma pojęcia o jego związku z dużą firmą, która wchłonęła przedsiębiorstwo jej ojca, ale uznał, że nie warto teraz o tym mówić. Nie chciał psuć nastroju. Zrozumiał, że Elizabeth obwiniła siebie o utratę rodzinnego przedsiębiorstwa. Na pewno uważała, że ojciec by go nie sprzedał, gdyby oprócz córki miał także syna. Zresztą, koncert właśnie się zaczął.

Po powrocie z koncertu Quentin wniósł Elizabeth do domu. Nie protestowała już tak zawzięcie jak na początku, chociaż czuła przy tym wciąż takie samo podniecenie.

- Napijesz się kawy? - spytał, usadowiwszy ją w salonie.

- Ja zaparzę - powiedziała, sięgając po kule, które obok niej położył. - Ty przez ten czas wypakuj rzeczy.

Wahał się przez chwilę, a potem skinął głową i wyszedł.

Uśmiechnęła się. A więc zrozumiał, ile dla niej znaczy niezależność.

Nuciła pod nosem, przygotowując kawę. Z kulami nie było jej wygodnie, ale lekarz powiedział ostatnio, że najdalej za tydzień będzie mogła się bez nich obejść.

Quentin wrócił, zaniósł do salonu tacę z filiżankami. Usiedli obok siebie na kanapie.

- Podobał mi się dzisiejszy koncert - powiedziała Liz, dziwnie skrepowana. -
Dziękuję, że mnie zaprosiłeś.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Trudno mu było utrzymać ręce przy sobie nawet w parku, podczas koncertu. Teraz, kiedy byli sami w domu, stało się to prawie niemożliwe. Rozpaczliwie szukał w myślach jakiegoś tematu do rozmowy.

- Lubię koncerty. Każde z nas musiało grać na jakimś instrumencie. Ja wybrałem saksofon. - Rozejrzał się po pokoju. - Ciekawe, gdzie go Muriel schowała.

- Szafa w przedpokoju, drugie drzwi po prawej, za pucharami hokejowymi z czasów szkolnych i starą piłką do koszykówki.

- Oprowadziła cię po całym domu, co? - Quentin wybuchnął śmiechem.

- A właściwie, dlaczego mówisz do mnie Elizabeth? - Pytanie go zaskoczyło. Też sobie wybrała porę na dociekania!

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Tylko mi nie wmawiaj, że kryje się za tym jakaś straszna tajemnica - uśmiechnęła się, ale trochę niepewnie.

Quentin udawał, że się zastanawia.

- Może - mruknął. Wyglądała tak słodko. Niemal jęknął, kiedy oblizała wargi.

- Naprawdę chciałabym wiedzieć.

A więc i ta tajemnica miała się wydać. Quentin wziął głęboki oddech.

- Nazywałem cię tak, ponieważ dzięki temu udawało mi się utrzymać dystans - oświadczył. - Elizabeth brzmi znacznie bardziej oficjalnie niż Liz czy Lizzie. To mi

przypominało, że nasza znajomość nie może wykroczyć poza formułki grzecznościowe, choćbyś nie wiedzieć jak bardzo mi się podobała.

Widząc, że się zdumiała i że wątpi w prawdziwość jego słów, dodał:

- Zrozum, stanowiłaś zagrożenie. Ja miałem dwadzieścia pięć lat, a ty byłaś przyjaciółką mojej młodszej siostry, dzieckiem, które jeszcze chodzi do szkoły. To oczywiste, że musiałem cię skreślić.

- A ja myślałam, że mnie nie lubisz. Matt i Noah byli tacy mili, a ty...

- Ja zachowywałem się jak idiota. Celowo.

- Nigdy nie byłeś wobec mnie niegrzeczny - zaprotestowała. - Tylko powściągliwy.

- Zgadza się. Musiałem mieć pewność, że pozostaniesz tylko przyjaciółką Allison i nikim więcej.

Więc w końcu się przyznał. Do wszystkiego. Miał wielką ochotę natychmiast ją pocałować, ale się powstrzymał. Chciał jej dać czas na przyswojenie sobie tego, czego się właśnie dowiedziała.

Liz wróciła myślą do czasów, kiedy to sporadycznie widywała Quentina przy okazji odwiedzin w domu rodziców Allison.

- Jak już raz się zaczęło, to potem trudno się było z tego wycofać - powiedziała jakby do siebie. - Przyzwyczaiałam się, że z tobą wymieniam tylko grzeczności, co najwyżej rozmawiam o pogodzie.

- Zgadza się. Kiedy raz weszło się w ten schemat, trudno go było potem zmienić. Zresztą zdawało mi się, że ty i tak za mną nie przepadasz. I o to chodziło. Dlatego traktowałem cię oziębło i z dystansem.

Zakręciło jej się w głowie. A więc jej pragnął. Tak bardzo, że musiał się od niej odgrodzić murem. Przeszedł ją rozkoszny dreszcz i w tej samej chwili poczuła na sobie pożądliwe spojrzenie Quentina.

Wyjął jej z dłoni filiżankę, postawił na stoliku, a potem ujął jej dłoń i pocałował.

- Pragnę cię - powiedział, patrząc jej prosto w oczy. Ośmieliło go to, co w nich zobaczył, i zaczął delikatnie całować jej policzki, nos, a w końcu usta.

- Elizabeth - szepnął namiętnie.

Chciało jej się krzyknąć, ponieważ przestał ją całować. Miała nadzieję, że przerwa nie potrwa długo.

- Mam nadzieję, że tym razem nikt nam nie przeszkodzi - powiedział cicho, a potem spojrzął na nią pytająco. - Naprawdę tego chcesz? Bo ja nie mam ochoty przerywać.

Jeśli nawet miała jakieś wątpliwości, to nie dopuściła ich do głosu.

- Tak, jestem pewna - usłyszała własne stanowcze słowa.

Ułożył ją na kanapie, ostrożnie, żeby nie urazić zwichniętej nogi, i rozpiął suwak sukienki.

Pół życia czekała na tę chwilę. Miała osiemnaście lat, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. Od tamtej pory pragnęła go bez przerwy. Teraz też.

- Pomóż mi - poprosiła, bo nie mogła sobie poradzić z koszulą Quentina, która wprawdzie pozwoliła się rozpiąć, ale nie dała się z niego zdjąć.

- Jeszcze nie - powiedział, jakby podjął decyzję. - Zaniosę cię do łóżka.

Wziął ją na rękę.

Tak dobrze było w jego ramionach. Liz testowała jego opanowanie, dotykając i głaszcząc tych miejsc, których mogła dosięgnąć. Miał fantastycznie umięśniony kark.

- Dobry Boże - jęknął Quentin, gdy wreszcie dotarł do łóżka i bezpiecznie ułożył na nim Liz.

Sukienka zsunęła się do pasa, jeden sandał zawisł na palcu, drugi zgubił się gdzieś po drodze. Liz zrzuciła ten, który się ostał, a Quentin zdjął z niej sukienkę.

- Figi z czerwonego jedwabiu? - uśmiechnął się na widok jej bielizny. - Masz słabość do pięknej bielizny.

- Muriel przywiozła mi z domu trochę rzeczy - tłumaczyła się Liz, całkiem niepotrzebnie. - Mam wrażenie, że wybrała najbardziej ekstrawagancką bieliznę. Nie wzięła ani jednej pary zwykłych, bawełnianych majtek.

- Przypomnij mi, żebym jej dał podwyżkę - roześmiał się Quentin. - Chociaż to nieludzkie przywozić ci takie rzeczy i jednocześnie nie pozwalać mi ich oglądać.

Rzucił jej bieliznę na nocny stolik, a potem pozbył się własnego ubrania. Był podniecony.

- Ty na górze - powiedział. - Nie chcę cię urazić w nogę.

Nim zdążyła zaprotestować, ostrożnie położył ją na sobie. Potem właściwie wszystko się pomieszało. Liz miała uczucie, jakby świat się skurczył do rozmiaru, w którym nie istniało nic prócz nich dwojga i tej chwili.

Tak długo o tym marzyła, tak bardzo go chciała, kochała go...

- Oj, kochanie, chyba już nie żyję. - Quentin oparł głowę na rękę, drugą ręką głaskał udo Elizabeth. Był calusieńki mokry od potu.

Przeżył najwspanialszą i najbardziej satysfakcjonującą seksualną przygodę w swoim życiu. Był wykończony i tylko jedna myśl krążyła mu po głowie: trzeba to było zrobić wcześniej.

Liz ścisnęła prześcieradło. Czekwała, aż jej serce zwolni biegu. A po głowie krążyła myśl: nie należało tego robić!

Jak mogła nie przewidzieć, że pójście do łóżka z Quentinem przewróci do góry nogami cały jej świat? A co gorsza, całkiem się zapomnieli: kochali się bez żadnej ochrony. Wprawdzie było mało prawdopodobne, żeby akurat teraz zaszła w ciążę, ale ostrożności nigdy za dużo.

Wolała, żeby nie wiedział, jak bardzo była wzruszona, toteż starała się przybrać nonszalancką pozę.

- Umiesz szybko działać - powiedziała ze śmiechem, który nawet w jej uszach zabrzmiał sztucznie.

- Naprawdę uważasz, że to szybko? Jedenaście lat tłumionego pożądania?

- Oficjalnie to jest nasza - zamyśliła się - druga randka. Choć muszę przyznać, że trochę się pogubiłam w rachunkach przez to, że właściwie mieszkamy razem.

- Zgadza się - uśmiechnął się przebiegle. - A to oznacza, że jesteś mi winna jeszcze dwie randki. Bo umówiliśmy się na cztery. Pamiętasz?

Liz zdrząła. Jeszcze dwie? Nie wiedziała, jak zdoła przeżyć jeszcze dwie randki z Quentinem. On przecież chciał tylko miłej, nieskomplikowanej umowy handlowej, a ona... Doskonale pamiętała, jak w paroksyzmie rozkoszy przyznała się, że go kocha. Na szczęście tylko przed sobą, na szczęście on nic o tym nie wiedział... ?

- Trochę się różnię od mężczyzn, z którymi się dotąd spotykałaś - powiedział Quentin.

Owszem, pomyślała Liz. Tylko w tobie się zakochałam. Ale przecież nie mogę ci tego powiedzieć.

Prawdę mówiąc, do tej pory była tylko z jednym mężczyzną. To było wkrótce po zaręczynach Quentina. Udało jej się przekonać samą siebie, że trzeba wreszcie spoważnieć i przestać się łudzić nadzieją. Miała dwadzieścia trzy lata. Najwyższy czas porzucić marzenia o tym, że przyjdzie taki dzień, w którym Quentin odkryje, że nie może bez niej żyć.

Dlatego zgodziła się na spotkanie z Kevinem Delaneyem. Był miłym, statecznym księgowym i chodził za nią jak wiemy pies. W końcu mu uległa. Wiedziała dlaczego, ale wolała nie myśleć o tym, że Kevin był tego samego wzrostu co Quentin, miał taki sam kolor oczu i podobną fryzurę.

Nie rozbłysły żadne fajerwerki, ziemia się nie poruszyła, a Liz doszła do wniosku, że popełniła błąd.

Oczywiście, potem też spotykała się z mężczyznami, ale zawsze kończyło się na kilku randkach. Z żadnym z nich nie poszła do łóżka. Wszyscy byli, jak by to określiła Allison, bezpieczni.

- Jestem aż taki dobry, że mowę ci odebrało? - zażartował Quentin, wrywając ją z zamyślenia.

Na szczęście nigdy nie pozna prawdy, pomyślała Liz.

- No cóż, każdy jest na swój sposób wyjątkowy - powiedziała.

- Masz takie bogate doświadczenie? - Quentin zmarszczył czoło. Wolał nie myśleć o mężczyznach swojej Elizabeth.

- Skądże. Jeden czy dwa razy...

- I jak wypadło porównanie? - spytał, bo nie mógł się powstrzymać. - Na moją korzyść?

- Tak - przyznała tak cicho, że musiał się schylić, żeby usłyszeć, co powiedziała. A potem spojrzała na niego tymi swoimi zielonymi oczami. - Obawiam się, że nic z tego nie będzie.

- Z czego? - Zamarł z dłonią na jej udzie. Przygryzła wargę, odwróciła wzrok.

- To nie jest takie proste, jak myślałam.

Przyszło mu do głowy, że ona chce zerwać umowę.

Przeraził się, choć inna część jego umysłu przyznawała jej rację. Pójście do łóżka z Elizabeth przewróciło do góry nogami calutki świat Quentina.

- A cóż w tym dziwnego, że ludzie, którzy się sobie podobają, ulegają namiętności? Moim zdaniem to całkiem proste. - Te słowa nawet w jego uszach brzmiały nieco fałszywie.

- Wiesz, że nie tylko o to chodzi. - Znów na niego popatrzyła. - Planowaliśmy wspólne dziecko. Była mowa o tym, żeby powołać do życia człowieka na mocy umowy, a nie dlatego, że dwoje ludzi kocha się tak bardzo, że chcą się pobrać i mieć dzieci.

- Czy ty naprawdę wierzysz, że małżeństwo to miłość bez skazy? Przecież to jedna wielka bzdura! - Strach sprawił, że zaczął się z nią sprzeczać, zamiast rzucić ją na łóżko i zastosować bardziej prymitywne metody perswazji.

- Jak możesz tak mówić? - spytała zatroskana. - Przecież małżeństwo twoich rodziców jest bez skazy. Wszyscy im zazdroszczą.

Westchnął. Po klęsce z Vanessa często się zastanawiał, jakim cudem jego rodzicom się udało.

- Moi rodzice są wyjątkowi. Nie widzieli się przez dwa lata, kiedy ojciec służył w wojsku. Mało brakowało, a wzięliby potajemny ślub, bo dziadkowie za nic nie chcieli się zgodzić, żeby mama wyszła za mąż przed ukończeniem college'u. A mimo to ich małżeństwo nie było wyłącznie idyllą. Tata był tak zajęty tworzeniem naszej firmy, że mama właściwie sama musiała nas wychowywać.

Liz usiadła. Mocno trzymała prześcieradło, żeby się nie zsunęło i nie odłoniło jej biustu.

- Ja też szukam takiego wyjątku - powiedziała z mocą. Mina Quentina nie wyrażała absolutnie niczego. Nie dało się wywnioskować, o czym myślał.

- Popelniliśmy błąd. - Liz wzięła głęboki oddech, odczekała, aż głos przestanie jej drżeć. - Bardzo mi przykro.

- Chcesz zerwać naszą umowę - powiedział beznamiętnie, jakby naprawdę było mu to całkiem obojętne.

- Tak - szepnęła.

Quentin zerwał się z łóżka. Liz patrzyła na jego muskularne plecy, zgrabne pośladki i mocne nogi, a potem zaczęła się ubierać.

Kiedy Quentin znów na nią spojrzał, był już całkiem opanowany.

- Taka była umowa - stwierdził bez emocji. - Każde z nas ma prawo się wycofać podczas każdej z czterech randek.

Liz użyła całej siły woli, żeby się nie rozplakać. Przygryzła wargę, spuściła wzrok.

- Nie musisz się obawiać - powiedziała. - W moim stanie byłoby prawie niemożliwe zajść w ciążę, nawet gdyby to był właściwy moment. Na szczęście nie jest.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Trzydzieści osiem, trzydzieści dziewięć, czterdzieści. Policzyła dni na kalendarzu.

Okres jej się spóźniał. Co do tego nie było wątpliwości. Ale dlaczego? Przy tym schorzeniu zajście w ciążę powinno być bardzo trudne, a tymczasem wszystko wskazywało na to, że wystarczyła jedna noc, jedna niezapomniana noc w ramionach Quentina.

Liz się przeraziła. Musiała iść do lekarza, żeby uzyskać potwierdzenie, choć tak naprawdę już wiedziała. Nigdy dotąd okres nie spóźnił jej się aż tak bardzo.

Tamtego pamiętnego wieczoru niechętnie, ale jednak zgodził się odwiedzić ją do domu, pod warunkiem, że Muriel będzie przyjeżdżać i pomagać jej w codziennych zajęciach, póki nie będzie mogła poruszać się bez kul.

Od tamtej pory nie widziała Quentina. Sprawy związane z kontraktem omawiała wyłącznie z Noahem. Oczywiście bardzo cierpiała. Schudła i dosłownie zmuszała się, żeby coś zjeść. Dla dobra dziecka.

Niestety, nie udało jej się uporać z bezsennością. Od rozstania z Quentinem prawie co noc leżała bezsenne i zastanawiała się, co powinna zrobić.

Przestraszyła się ogromu własnych uczuć i uciekła. Bała się, że nic nie wyjdzie z ich niezwyklej umowy, a jeśli mnawet, to ona przez resztę życia będzie miała złamane serce.

Umówili się potem, że spróbują zapomnieć o tamtej jedynej nocy, ale z tej umowy także nic nie będzie. Za dziewięć miesięcy pojawi się na świecie bardzo konkretny dowód na to, że jednak coś między nimi zaszło.

Wizyta u lekarza tylko potwierdziła to, co Liz już wiedziała. Nawet jeśli lekarz był zdziwiony tak szybkim biegiem wydarzeń, to nie dał tego po sobie poznać. Powiedział tylko, jak Liz ma się odżywiać, zalecił witaminy, dał jakieś ulotki ze szkół rodzenia i wyznaczył termin następnej wizyty.

Liz wciąż nie miała pojęcia, co powinna zrobić. Oczywiście, mogła wmówić całemu światu, że sztuczne zapłodnienie udało się już za pierwszym razem, tylko co będzie, kiedy dziecko zjawi się na świecie? A jeśli się urodzi chłopiec o szarych oczach, tak charakterystycznych dla rodu Whittakerów? Ile czasu zajmie ludziom odkrycie jej sekretu?

Mogła się też wyprowadzić do innego miasta, może nawet zamieszkać razem z ojcem na Florydzie. Ale to oznaczało zlikwidowanie Precious Bundles i zaczynanie wszystkiego od początku.

Nie, trzeba będzie spojrzeć prawdzie w oczy i wychować to dziecko w Carlyle, rodzinnym mieście Whittakerów. No i trzeba będzie kiedyś powiedzieć prawdę Quentinowi. Byle nie teraz!

W trudnych chwilach zwykle zwracała się do Allison. Ally była nieoceniona w sytuacjach kryzysowych, lecz do tej się nie nadawała. Liz doskonale wiedziała, jak przyjaciółka zareaguje: będzie zachwycona i natychmiast powie o wszystkim Quentinowi. No i oczywiście zmusi go do poniesienia odpowiedzialności. Nie tylko finansowej.

Tak więc Allison odpada. Pozostała tylko jedna osoba, której Liz mogła absolutnie zaufać. Tata. Obawiała się, że nie będzie zachwycony. No bo niby czemu miałby się cieszyć, że jego jedyna niezamężna córka będzie miała panieńskie dziecko?

Spoglądała na telefon z taką miną, jakby się bała, że siedzą w nim złe duchy. Mimo to w końcu sięgnęła po słuchawkę. Wolała mieć to już za sobą.

Ojciec, jak zwykle, zaczął od narzekań na córkę, która rzadko do niego dzwoni i ani myśli go odwiedzić.

- Jeśli jesteś zbyt zajęta, żeby tu przyjechać, to może ja przyjadę do ciebie - mówił. - Na pewno dobrze mi zrobi spotkanie ze starymi kumplami.

- Cieszę się, że planujesz przyjazd do Carlyle- postawiła wszystko na jedną kartę. - Oczywiście możesz przyjechać wcześniej, ale w połowie kwietnia przyszłego roku musisz tu być koniecznie.

- Cieszę się, że się za mną stęskniłaś. Tylko powiedz mi, co takiego zamierzasz w kwietniu przyszłego roku? Oczywiście jeśli to nie tajemnica.

- Urodzę dziecko. Jeszcze nie ma dokładnego terminu, ale to będzie mniej więcej w kwietniu.

Na drugim końcu słuchawki zapadła głucha cisza.

- Tato? - spytała niepewna, co to znaczy.

- No wiesz, kiedy mówiłem o wnusiu, to oczywiście myślałem, że będziesz już wtedy mężatką. Wygląda na to, że miałem rację, kiedy się bałem zostawić cię tam całkiem samą.

Westchnęła. Domyślała się, że tata nie będzie zadowolony, ale co innego przypuszczać, a co innego wiedzieć na pewno.

- Ale chyba mi powiesz, kto jest ojcem - mruknął Patrick.

- Quentin Whittaker - wyznała, gotowa na najgorsze.

- Wszyscy święci! Powiedziałaś: Whittaker?

- Nie złość się, tato...

- Dlaczego miałbym się złościć? Jestem zachwycony!

- Słucham? - Chyba nie zdziwiłaby się bardziej, gdyby powiedział, że rzuca wędkowanie i wstępuje do zakonu franciszkanów.

- Zostanę dziadkiem - chichotał Patrick. - To całkiem wystarczy, żeby mnie wprawić w dobry nastrój. Ale widzisz, groszku, przy okazji odzyskamy rodzinną firmę.

- O czym ty mówisz, tato? - Przez chwilę myślała, że ojciec postradał zmysły, ale prędko przypomniała sobie, że to akurat jej ojcu nie grozi.

- Quentin jest właścicielem tego wszystkiego, co składało się kiedyś na Donovan Construction.

- Co? Jak... - Cały świat stanął na głowie. To niemożliwe!

- Nie, nie kupił firmy ode mnie - tłumaczył jej Patrick - tylko od Scudder Brothers. Mniej więcej rok po tym, jak oni kupili ode mnie. Quentin jest głównym udziałowcem w holdingu Samtech Enterprises, który obecnie jest właścicielem wszystkiego, co kiedyś było Donovan Construction.

Głowa ją rozboleła. A więc sytuacja była stokroć gorsza, niż przypuszczała. Nagle się okazało, że nie wiedząc o tym, miała spełnić marzenie swego ojca. Patrick Donovan uznał, że córka zdobyła dla niego klucze do ukochanej firmy, której stworzenie zajęło mu pół życia.

Liz wielokrotnie się zastanawiała, czy ojciec sprzedałby firmę, gdyby miał syna. Teraz, przy odrobinie szczęścia i przy pomocy Quentina, miał nadzieję przekazać firmę wnukowi.

- Ale poprosił cię o rękę, prawda, groszku? - zapytał nagle zaniepokojony Patrick.

Liz się rozszłościła. Jakim prawem ojciec ciągnie ją do ołtarza?

- Nic mu nie powiedziałam - burknęła.

- Nie powiedziałaś? Dlaczego, na miłość boską? To przecież odpowiedzialny człowiek!

A więc do tego się wszystko sprowadza? Do odpowiedzialności?

- A może ja nie chcę wychodzić za mąż? Nie przyszło ci to do głowy? A o dziecku mu powiem, kiedy sama uznam za stosowne. I nie waż mi się wtrącać - ostrzegła.

- Nie denerwuj się, groszku.

- Nie jestem żadnym groszkiem. I nie chcę, żeby mi facet dyktował, co mam robić. - Brzmiało to ostro, ale nie dbała o to.

- Dyktował ci, co masz robić? - zaśmiał się ojciec. - Nie martw się, nikt nie będzie tobą rządził. Temperament Donovanów to nie byle co. Trzeba się z nimi liczyć.

- Do widzenia, tato - powiedziała Liz i odłożyła słuchawkę.

Jak to się stało, że nic nie wiedziała o przejęciu Donovan Construction przez holding Quentina? Może dlatego, że nie kupił go bezpośrednio. Ale na pewno dlatego, że nic jej o tym nie wspomniał!

Nagle przyszła jej do głowy paskudna myśl. Może Quentin z rozmysłem nie podzielił się z nią tą informacją? Przypomniała sobie rozmowę przed koncertem z okazji Czwartego Lipca. Rozmawiali o Patricku i nawet wtedy Quentin nie pisnął ani słowa. A przecież musiał wiedzieć, że ta informacja jest dla niej bardzo ważna.

To ja obnażam przed nim duszę, opowiadam, jak przez całe życie udowadniałam ojcu swoją samodzielność, a on pary z gęby nie puścił! Nie powiedział, że ma Donovan Construction! Ciekawe, kiedy zamierzał mi o tym powiedzieć? Może dopiero na sali porodowej?

Nawet nie musiała się wysilać, żeby to sobie wyobrazić: Quentin z jej ojcem rozmawiają sobie po przyjacielsku nad jej wymęczonym ciałem, które dopiero co dostarczyło im wymarzonego dziedzica.

Mogłaby w tej chwili gołymi rękami udusić Quentina. Musiał wiedzieć, że jej ojciec nie omieszka skorzystać z okazji, żeby - w pewnym sensie - odzyskać firmę dla

swego wnuka. Quentin wiedział, jaką rolę wyznaczono jej w tej operacji, i chyba mógł się domyślić, że Elizabeth jej nie przyjmie. Mimo to nie ostrzegł jej. Ani słowa nie pisnął, tylko się z nią kochał. I to jak!

Ja mu pokażę! Nie jestem głupią dziewczuszką, którą trzeba chronić przed prawdą, manipulować czy podejmować za nią życiowe decyzje. Sama wychowam swoje dziecko! Sama sobie poradzę!

- Co takiego?

- Liz jest w ciąży.

Quentin gapił się na siostrę. Zawsze przynosiła wieści, które wstrząsały jego światem, ale tym razem przeszła samą siebie.

Elizabeth w ciąży! Będę ojcem!

- Który miesiąc?

- No wiesz - uśmiechnęła się - dopiero co.

- A dokładnie? - Dobrze wiedział, ale potrzebował potwierdzenia.

- Nie mam pojęcia. Nic mi nie powiedziała.

- A powiedziała ci, kto jest ojcem?

- Przecież wiesz, że zrobiła to w klinice...

Quentin zacisnął pięści. Czy to możliwe? Czyżby Elizabeth zrealizowała swój pierwotny zamiar? Czy rzeczywiście dokonała sztucznego zapłodnienia zaraz po ich szalonej nocy? Nie chciała, żeby jej dziecko było potomkiem Whittakerów?

Musiał to sprawdzić.

Jak burza wypadł z gabinetu. Allison za nim.

- Quentin, dokąd idziesz? - wołała, wystraszona jego niezwykłym zachowaniem.

- Nie wracam już do biura - poinformował sekretarkę. Zupełnie nie zwracał uwagi na siostrę. - Telefonów też nie będę odbierał.

- Ty zawsze odbierasz telefony - protestowała Allison. - Dokąd się wybierasz?

Tym razem także ją zignorował. Wszedł do windy, popatrzył na siostrę, która wciąż nic nie rozumiała.

- Co zaszło między tobą a Liz? - dopytywała się zdenerwowana.

- Powiem ci, jak tylko sam się dowiem - odparł, nim drzwi się zamknęły.

Jechał jak szalony, przekraczał wszystkie ograniczenia prędkości.

A jeśli to dziecko jest moje, myślał, czy ona zamierza zatrzymać je dla siebie? A może naprawdę prosto z mojego łóżka pojechała do tej przeklętej kliniki?

Jednego był absolutnie pewien. Jeśli to dziecko jest potomkiem Whittakerów, to on stanie na głowie, żeby uznano jego ojcostwo.

Zahamował przed domem Liz, wyskoczył z auta, wbiegł na ganek. Drzwi były otwarte, Precious Bundles działała jak co dzień.

Elizabeth siedziała przy swym antycznym biurku. Między uchem a ramieniem trzymała słuchawkę i zawzięcie coś notowała. Kiedy zobaczyła Quentina, jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

- Tak, pani Bradford. We wtorek przywiozą tapety. - Quentin podszedł do biurka, oparł dłonie o blat. Gryzmoła coś na kartce ołówkiem, który złamał się od zbyt silnego nacisku.

Chciała wziąć drugi ołówek, ale Quentin przytrzymał jej rękę.

- Skończ tę rozmowę - powiedział szeptem i dopiero wtedy puścił jej rękę.

- Tttak - wyjąkała, ale Quentin nie wiedział, do kogo mówiła. Może jednocześnie i do niego, i do pani Bradford? - Tak, oczywiście. Zadzwońię do pani we wtorek.

- Jedno pytanie. - Jego głos był podejrzanie miękki. - Moje?

Patrzył jej prosto w oczy. Nie mogła odwrócić wzroku. Jakby ją zahipnotyzował. I skłamać też nie umiała.

- Tak.

Od razu się uspokoił. Jakby mu ulżyło.

- Powiedziałaś Allison, że byłaś w klinice.

- Wcale nie. Sama tak pomyślała, a ja po prostu nie wyprowadzałam jej z błędu.

- Kiedy zamierzałaś mi o tym powiedzieć? - warknął. To przelało czarę goryczy. Nie zamierzała znosić wybuchów jego złości.

- Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ty uznasz za stosowne powiedzieć mi, że przejąłeś firmę mojego taty.

Podniosła się z krzesła. Quentin, oczywiście, nadal był od niej wyższy, ale przynajmniej nie czuła się już jak przestępca na przesłuchaniu. Patrzyła mu prosto w oczy, aż w końcu nie wytrzymał: zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju.

- Nie sądziłem, że to istotne - usprawiedliwił się Quentin.

- Po koncercie Boston Pops już wiedziałaś, ale i tak nie pisałaś ani słówka!

- Masz rację. - Zatrzymał się, stanął naprzeciw niej.

- Powinienem być ci powiedzieć. Ale w tej chwili mam ważniejszy problem. Jesteś w ciąży, więc musimy się zastanowić, co zrobić.

To umniejszenie ważności jej problemu doprowadziło Elizabeth do furii.

- My? Chyba umówiliśmy się, że nie ma żadnego „my”?

- To było, zanim się dowiedziałem, że zostanę ojcem.

- Wobec tego nie musisz się martwić. Nie zostaniesz.

- Ja jestem ojcem tego dziecka! A może mnie oszukałaś?

- Przyznaję, że wniosłaś niewielki wkład. Ale to jeszcze nie znaczy, że będziesz ojcem.

- Niewielki wkład? - prychnął. - Powiedziałbym, że całkiem pokaźny. I to ku obopólnej radości.

- Nie zapominaj, że zostałam wychowana przez samotnego ojca. Moje dziecko będzie miało matkę. Nie bój się, damy sobie radę.

Quentin oniemiał. Wbił ręce w kieszenie.

- Na pewno. Samotny rodzic może sobie świetnie poradzić i ty o tym wiesz najlepiej, ale nie wiesz, że jest znacznie łatwiej, kiedy są oboje rodzice.

A więc udało jej się rozzłościć Quentina, odpłacić mu pięknym za nadobne. Niestety, nie przyniosło to oczekiwanej satysfakcji.

- Twoje dziecko jest Whittakerem. Naprawdę chcesz je pozbawić wszystkich korzyści, jakie niesie ze sobą ten fakt? - spytał z niedowierzaniem.

- Jeśli o to ci chodzi, to nie zabronię ci kontaktów z dzieckiem - odparła, patrząc mu prosto w oczy. - Pod warunkiem, że naprawdę będziesz tego chciał. Ale wbrew temu, co sądzisz o kobietach, ja nie wezmę od ciebie pieniędzy. Ani dla siebie, ani dla dziecka.

Zmarszczył czoło. Zastanawiał się. Musiał starannie dobierać słowa, żeby nie palnąć jakiegoś głupstwa.

- Cokolwiek myślę o tobie, nie jest w tej chwili ważne.

- Jest najważniejsze. - Elizabeth pokręciła głową. - Postuchaj siebie. Mówisz wyłącznie o sprawach materialnych, o tym, jak możesz zabezpieczyć dziecko.

- To zwyczajowa rola ojca. Powinien zarabiać na chleb, zapewnić byt rodzinie. Chciałabyś mi to odebrać?

- Nie zamierzam ci odbierać niczego ważnego. Nie zabronię ci spotkań z twoim dzieckiem. Ale to wszystko. Nie chcę od ciebie nic więcej.

Prócz ciebie, pomyślała, tylko ciebie.

Quentin miał taką minę, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Skinął głową, odwrócił się na pięcie i wypadł z pokoju.

Liz opadła na fotel. Nareszcie mogła się porządnie wyplakać. Wykonała swój plan, kazała Quentinowi pójść do diabła... Więc dlaczego czuła się taka strasznie nieszczęśliwa?

Wieczorem wpadła do niej Allison. Jak to miała w zwyczaju, również tym razem nie owijała niczego w bawełnę.

- Co się dzieje, Lizzie? - spytała od progu. - Powiedziałam Quentinowi, że jesteś w ciąży, a on wypadł z biura, jakby go gonili.

- Posłuchaj, Allison... - Nie było łatwo. Znały się bardzo długo, znały wszystkie swoje sekrety, ale to...

- Rozmawiałaś z nim? - wypytywała Allison. - Jeśli cię obraził, to przysięgam... Nie wiem, co mu zrobię, ale na pewno pożałuje.

- Ally...

- Przyznaję, jest nadopiekuńczy, ale to jeszcze nie znaczy, że musi ćwiczyć na tobie zagrywki starszego brata. - Allison prychnęła jak kotka. - Może sobie używać na mnie, ale od ciebie wara! No i oczywiście musi uszanować twoją decyzję...

- To jest dziecko Quentina, Ally.

- Co? - Allison zatkało. Po raz pierwszy w życiu. -Jak? Dlaczego?

- Zapomniałaś spytać, gdzie i kiedy.

- Nie pora na żarty, Lizzie. - Allison podeszła do kominka.

Liz wiedziała, że to będzie trudna rozmowa. Miała nadzieję, że Allison nie będzie się na nią wściekać przez całą resztę życia.

- Strasznie dużo uczuć w jednej chwili - mruzczała pod nosem, jakby do siebie. - Masz szczęście, że złość i poczucie krzywdy zajęły tylko dwie sekundy. Teraz jestem... szczęśliwa!

- Och, Ally! - zawołała uszczęśliwiona Liz. Nie wiedziała, skąd się wziął tamten popłoch. Przecież Allison zawsze była lojalna.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? - dąsała się Ally, ale Liz się tym nie przejmowała. - Pozwoliłaś mi myśleć... No, wiesz co.

- Jesteś jego siostrą - tłumaczyła się Liz. - Powiedziałaś o wszystkim Quentinowi i jeszcze byś go zmusiła... I tak była okropna awantura.

- Chciałabym to zobaczyć. Quentin nigdy nie traci panowania nad sobą. Boi się o swój wizerunek.

- Sprowokowałam go - przyznała się Liz.

- Jeszcze lepiej - roześmiała się Allison. - Bardzo był wściekły, że nie powiedziałaś mu od razu?

- Nie tylko to. Ja się wściekłam. Wiedziałaś, że Quentin przejął Donovan Construction?

Allison zatkało. Usiadła, jakby trudno jej było utrzymać się na nogach.

- Rany!

- No właśnie. Taka ważna rzecz, a on nawet o tym nie wspomniał. Nawet po tym, jak... - zaczerwieniła się po same uszy.

- Rozumiem.

- Tata jest zachwycony. Nie tylko dostarczę mu długo oczekiwanego wnuka, ale jeszcze zwrócę rodzinny interes. Oczywiście Quentin może nim sobie zarządzać, bo na pewno zrobi to dobrze, a potem i tak przekaze go synowi.

- Oj.

- No właśnie.

- Jak zareagował Quentin?

- Uznał, że rzeczywiście powinien mi powiedzieć o firmie, ale że to nie jest najważniejsze.

- Cały Quentin. - Allison wzniosła oczy ku niebu. - Cały on.

- Uparł się, że zabezpieczy dziecko finansowo.

- To oczywiste. Quentin od małego był bardzo odpowiedzialny.

Liz skinęła głową. Między innymi właśnie dlatego się w nim zakochała. Ale tym razem nie można było sprowadzić całej sprawy do zwykłego poczucia odpowiedzialności.

- Może sobie wsadzić tę swoją odpowiedzialność!

- Co takiego? - Allison przeraziła się nie na żarty. - Co ty wygadujesz?

- Widzisz, popełniliśmy błąd - tłumaczyła jej Liz. -A ponieważ to ja chciałam mieć dziecko, jestem przygotowana na to, żeby wychować je samodzielnie.

- Błąd? Jaki błąd? Oszalałaś? - Allison zerwała się z fotela. - Myślisz, że mój brat zapładnia każdą kobietę, jaka mu się nawinie? Quentin nigdy nie robi nic bez zastanowienia. On cię pragnie. Gdyby nie to, nigdy nie byłabyś z nim w ciąży.

Oczywiście, Allison chciała, żeby wszystko było poukładane. W końcu to ona pierwsza wymyśliła, że Quentin mógłby zostać dawcą spermy.

- Pragnie to nie to samo co kocha - westchnęła Liz.

- Jasne, ale tędy prowadzi droga do miłości.

- Przecież on nawet mnie nie lubi.

Allison uniosła brew w taki sam sposób, w jaki robił to Quentin.

- Daj spokój. - Rozpoczęła wędrówkę po pokoju. - Obejrzyjmy sobie dowody, dobrze? Mój brat przez całe siedem lat unikał wszelkich związków z kobietami. Wystarczyło kilka tygodni od waszego spotkania, żeby zlecił ci urządzenie żłobka, a zaraz potem złamał jedną ze swoich podstawowych zasad i mimo wszystko połączył interesy z przyjemnością.

Allison zatrzymała się, przeszła przyjaciółkę przenikliwym spojrzeniem.

- Co więcej, zrobił to wszystko, wiedząc, że igra z ogniem. W końcu ma do czynienia z kobietą, która za wszelką cenę musi szybko zająć w ciąży. Jednak z niewyjaśnionych przyczyn robi awanturę, kiedy się dowiaduje, że planujesz sztuczne zapłodnienie, i każe ci znaleźć sobie męża! - Allison oparła się dłońmi o zagłówek fotela. - A na koniec sam zgłasza się na ochotnika!

Liz omal się nie roześmiała. Allison prowadząca przewód sądowy to niezapomniany widok. Wprawdzie nie wiedziała o ich umowie, o małżeństwie z rozsądku i wspólnym dziecku, ale była niebezpiecznie blisko prawdy.

- Umieram z ciekawości, ale nie zapytam cię, jak do tego doszło. - Allison spojrzała znacząco na przyjaciółkę. - Na pewno wiem tylko jedno: ty i Quentin jesteście sobą bardziej zafascynowani, niż to było w naszych czasach szkolnych.

Liz westchnęła.

- Ty go kochasz, tak?

Niespodziewane pytanie i domyślne spojrzenie przyjaciółki sprawiły, że w oczach Liz pojawiły się łzy. Nie zamierzała płakać przy Allison, ale niestety nie potrafiła ich ukryć.

- Och, Lizzie! - Allison usiadła przy niej i przytuliła ją. - Już w porządku.

- Nieprawda - łkała Liz. - Nie jest w porządku. Wszystko poplątałam.

- Ty? - zdziwiła się Allison. - Moim zdaniem Quentin jest co najmniej tak samo winny, jeśli w ogóle można tu mówić o jakiejś winie.

- Ja tylko chciałam mieć dziecko. - Liz pociągnęła nosem.

- No i będziesz miała! A ja zostanę ciocią! - powiedziała z radością Allison. - A mama... O rany, mama oszaleje ze szczęścia!

- Że usidliłam jej syna?

- Nie, głuptasie. Że urodzisz jej wnuka! Zawsze o tym marzyła.

- Nie rozumiem? - Lis popatrzyła na zmieszaną nagle przyjaciółkę.

- No, wiesz...

- Czytacie we mnie jak w otwartej książce, tak? - domyśliła się Liz. Całymi latami udawała, że Quentin nic ją nie obchodzi. Wyszło na to, że mogła sobie oszczędzić tego wysiłku.

- Trudno było nie zauważyć - uśmiechnęła się Allison. - Patrzyłaś w niego jak w obraz.

- Już dawno mi przeszło - protestowała Liz. Wolała myśleć, że jej młodzieńcze uwielbienie przerodziło się w bardziej dojrzałe uczucie.

- Bogu dzięki - westchnęła komicznie Allison. - Quentin to mój brat i naprawdę jest fajny, ale na pewno nie jest księciem z bajki.

Liz roześmiała się przez łzy.

- O, widzę, że się ze mną zgadzasz! - Allison ją uściskała. - Więc przestań mi tu wygadywać głupstwa o Quentinie. Zasłużył sobie na zmienianie pieluch. A jeśli chodzi o ciebie i o niego, to wszystko jakoś się ułoży. Zobaczysz.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Liz znalazła się w oblężeniu. Ojciec odgrażał się, że przyjedzie z Florydy i „dopilnuje, żeby wszystko było jak należy”. Zgodnie z przewidywaniami Allison matka Quentina była w siódmym niebie. Zadzwoiła do Liz i powiedziała, że gdyby tylko czegoś potrzebowała, to ona i jej mąż są na każde zawołanie.

W typowy dla siebie, taktowny sposób zachowywała się tak, jakby nie było absolutnie nic niestosownego w tym, że jej najstarszy, nieżonaty syn będzie miał dziecko z przyjaciółką jej córki.

Ale jeśli Liz sądziła, że Quentin odziedziczył takt po matce, to się myliła. Nawet bardzo.

Rozmawiała właśnie z wykonawcą, kiedy usłyszała znajomy głos.

- Muszę z tobą pomówić.

Spojrzała na niego, zdziwiona tym niecodziennym zachowaniem.

- Teraz rozmawiam z panem Higginsem - oświadczyła oziębło.

- To może poczekać - Quentin udał, że nie zauważył bijącego od niej chłodu - a ja mam do ciebie bardzo pilną sprawę.

Przedsiębiorca w lot zrozumiał aluzję i oddalił się do swoich zajęć. Liz została sama z Quentinem.

- To było niegrzeczne - warknęła, gdy znaleźli się w holu.

- O to się nie martw. - Wzruszył ramionami. - To mój pracownik.

- Ach, więc to tak? - Z jej słów wiało takim chłodem, że Patrick Donovan byłby z niej dumny. - Pracownik to nie człowiek? Musi się zastosować do twoich życzeń? Nikt nie śmie się sprzeciwić potężnemu Quentinowi Whittakerowi, co?

Przesunął dłonią po włosach. Zdążyła się już nauczyć, że ten gest oznacza stan przykrego napięcia.

- Zastanawiałaś się już, jak sobie poradzisz sama z dzieckiem, żeby jednocześnie prowadzić Precious Bundles?

Ach, więc po to się zjawił...

- Poradzę sobie - odparła stanowczo. - W każdym razie nie przyjmę od ciebie żadnych pieniędzy.

- Już je ode mnie przyjmujesz. Zapomniałaś? Projekt żłobka dla Whittaker Enterprises.

- To co innego - mruknęła bez przekonania.

- Czyżby? A jeśli uznam, że firma jednak nie potrzebuje żłobka?

Naprawdę przerażała ją ta możliwość.

- Zerwałbyś kontrakt...

- Nawet gdybyś mogła sobie pozwolić na pozwanie nas do sądu, a oboje wiemy, że nie masz takich możliwości, i nawet gdybyśmy poszli na ugodę, to cała sprawa zajmie trochę czasu.

Nie musiał wspominać o tym, o czym oboje doskonale wiedzieli. Liz nie mogłaby czekać na ugodę. Wreszcie zrozumiała, że Quentin uczciwie zasłużył na miano człowieka interesu. Stała się obiektem jego bezwzględnych metod negocjacji i na własnej skórze przekonała się, jak to boli.

A jednak było coś, co kazało jej trzymać nerwy na wodzy. Przecież wiedziała, jak wielką krzywdę zrobiła mu Vanessa. Rozumiała, że Quentin robił co w jego mocy, żeby się bronić, żeby już nigdy żadna kobieta nie zdołała go skrzywdzić. Pewnie dlatego uznał, że powinien się z nią układać, jakby miał do czynienia z rywalem. Tak samo jak wtedy, kiedy jej proponował małżeństwo z rozsądku.

- Co proponujesz? - spytała, zrozumiałwszy wreszcie motywy jego działania.

- Pobierzmy się.

- Dlaczego? - Postarała się, żeby głos jej nie zdrzął, choć serce podskoczyło do gardła.

- Bo urodzisz moje dziecko.

- Z tego nie wynika, że musisz się ze mną żenić.

- Według moich norm wynika. - Popatrzył na nią. -Rozważałem różne możliwości i doszedłem do wniosku, że to najlepsze wyjście. Będziemy małżeństwem. Przynajmniej dopóki dziecko się nie urodzi.

Chciała protestować, ale uciszył ją ruchem ręki.

- Wysłuchaj mnie. To naprawdę najlepsze rozwiązanie. Dla mnie, dla ciebie i dla dziecka. Wrócimy do pierwotnego planu, ale tym razem na krótką metę. Chcę, żeby to dziecko urodziło się jako Whittaker. Moi rodzice marzą o wnuku, ale uważają, że powinienem mieć dziecko w legalnym związku.

- A co ja będę z tego miała? - spytała Liz, bo w końcu miała to być umowa handlowa.

Chwilę się wahał, jakby to pytanie go zaskoczyło.

- Świąty spokój. Finansowe zabezpieczenie dziecka na najwyższym poziomie. Finansowe zabezpieczenie Precious Bundles do czasu, kiedy znów będziesz mogła prowadzić swoją firmę.

A więc jednak umowa handlowa. Nic więcej. Spodziewała się tego, a jednak poczuła ukłucie w sercu.

A co myślałaś, skarciła się w duchu. Że ci wyzna dozgonną miłość?

- Zastanowię się - powiedziała. Quentin milczał. Nie poruszył się, nie drgnął mu nawet jeden mięsień. Liz poczuła się zakłopotana. - Skończyłeś?

- Nie skończyłem! - ryknął. Zanim zorientowała się, co się dzieje, chwycił ją w ramiona i pocałował. Mocno, solidnie, żeby poczuła, jak bardzo jest zrozpaczony.

- Zawiadom mnie, kiedy się zastanowisz - warknął i zostawił ją samą.

Zastanowię się! Quentin miał wrażenie, że nigdy w życiu nie miał do czynienia z gorszym uparciuchem. Samo patrzenie na nią sprawiało mu ból. Miał ochotę zedrzeć z niej ubranie i kochać się z nią do utraty tchu. A ona tymczasem patrzyła

na niego tymi swoimi zielonymi oczami i na koniec powiedziała jeszcze, że się zastanowi !

Zgoda, może należało jej powiedzieć o przejęciu Donovan Construction, ale najpierw nie wiedziałem, że to dla niej ważne, a potem odwlekałem, aż zrobiło się za późno.

Oczywiście spartaczył sprawę. Zamierzał wytłumaczyć

Elizabeth wszystko po kolei, w porządku logicznym, przekonać ją, że małżeństwo będzie najlepszym wyjściem z tej sytuacji. Ale zamiast jej uświadomić, jak bardzo go potrzebuje, ona i jej Precious Bundles, przynajmniej na czas, kiedy się będzie zajmowała ich dzieckiem, użył zwyczajnego, najpodlejszego szantażu. Wszystko przez to, że znów zaczęła tę swoją śpiewkę, znowu opowiadała, jak bardzo nie dba o jego pieniądze. Kiedy to usłyszał, krew w nim zawrzała. Musiał jej pokazać, kto tu rządzi.

Ale czy rzeczywiście? Nie, to pożądanie, to przez nie straciłem głowę. Chcę mieć i ją, i jej dziecko. Nareszcie zrozumiał, że pragnie ich obojga i to tak bardzo, że aż sam się zdziwił. Gdyby tylko ta przeklęta baba dała się namówić na uporządkowanie tego całego zamieszania! Na domiar złego cała jego rodzina stanęła murem po jednej stronie. Oczywiście, nie po jego.

Przypomniał sobie, jak rano Allison wpadła do biura bez uprzedzenia. Była zła i dała mu to odczuć, a to, co-powiedziała na pożegnanie, do dziś pozostało mu w pamięci.

- Szantażem chciałeś ją zmusić do przyjęcia twoich warunków - mówiła Allison, dźgając go palcem. - Proponujesz jej pieniądze, bo zdaje ci się, że jest taka sama jak Vanessa, że zależy jej tylko na twojej forsie!

- Oszalałaś? - bąknął, wciąż mając w pamięci żalostną próbę zaszantażowania Elizabeth. - Nigdy ich ze sobą nie porównuję.

- A niby czemu miałabym ci wierzyć?

Nie odpowiedział i Allison wyszła, zostawiając go samego z tym pytaniem. Teraz chyba mógłby jej dać odpowiedź. Powinna mu uwierzyć, bo tak właśnie myślał.

Vanessa reprezentowała to wszystko, czym się brzydził. Była chciwą intrygantką. No i dała mu niezłą lekcję życia i miłości.

Zastanowił się, a potem bardzo się zdziwił.

Miłości? Czyżby rzeczywiście kochał Vanesse?

Uczucie, jakie do niej żywił, było blade i nudne w porównaniu z tym, co czuł do Elizabeth. Ostatnie trzy dni przeżył jak w gorączce, czekając, aż Elizabeth oznajmi mu swoją decyzję. Mogła otworzyć mu drzwi do raju, albo... Nie, wolał nie rozważać innych możliwości.

Więc dlaczego tak się upiera, że Vanessa go zdradziła, wykorzystata jego miłość, a jednocześnie zaprzecza, że kocha Elizabeth? Zrozumienie oświeciło go, jak jasne promienie słońca oświetlają o poranku ciemne jeszcze niebo. Po prostu się bał. Bał się przyznać, że kocha Elizabeth, bo tym samym dałby jej nieograniczoną władzę nad sobą. Jeśli Vanessa potrafiła go zranić tak głęboko, to Elizabeth może go już tylko zabić.

Ale przecież kocham Elizabeth! Także dlatego, że jest zupełnie inna niż Vanessa. Troskliwa, słodka, wrażliwa... Nie mógł przestać myśleć o Elizabeth. Wracał do niej myślami nawet w trakcie ważnej konferencji czy spotkań z kontrahentami. Właściwie bez przerwy.

Nagle wpadł mu do głowy wspaniały pomysł. Quentin wymyślił sposób przechylenia szali na swoją korzyść, sposób, który mógłby wymazać z pamięci Elizabeth wstrętą próbę szantażu i sprawić, że z własnej woli zdecyduje się zostać jego żoną i pozwoli dziecku urodzić się Whittakerem.

Podniósł słuchawkę, wybrał numer swojego adwokata.

Właśnie skończył rozmowę, kiedy usłyszał w sekretariacie donośny głos.

Tylko tego mi trzeba, pomyślał zniechęcony. Kolejny nieproszony gość. Jeszcze nie doszedłem do siebie po tej nieszczęsnej kłótni z Allison.

Mimo to wyszedł do sekretariatu i... stanął jak wryty. Wprawdzie minęło kilka lat, ale tego wielkiego Irlandczyka rozpoznałby nawet na końcu świata. Ojciec Elizabeth! W samą porę!

- Witam, panie Donovan - powiedział z szacunkiem Quentin.

Patrick Donovan spojrział na niego. Był wprawdzie nieco niższy, ale Quentin odniósł wrażenie, jakby stary Irlandczyk patrzył na niego z góry.

- No, no, chłopie. Jesteśmy prawie rodziną. Nie musisz do mnie mówić „panie Donovan”. Dla ciebie jestem Patrick. - Ojciec Elizabeth ruchem głowy wskazał

Celine. - Właśnie tłumaczyłem tej pięknej pani, że muszę się z tobą zobaczyć, chociaż nie byłem umówiony.

Quentin obserwował zafascynowany, jak po słowie „piękna” na policzkach Celine wykwitł szkarłatny rumieniec.

Wygląda na to, pomyślał, że moja sekretarka wreszcie znalazła sobie drugą połowę.

- Nie musisz się umawiać - powiedział Quentin, zapraszając Patricka do gabinetu. - Wejdź, proszę.

- Nie będę przeszkadzał?

- Nie łącz żadnych rozmów, Celine. Weszli do gabinetu.

- Jest jeszcze wczesnie, ale może się czegoś napijesz? - spytał Quentin, podchodząc do barku. On sam miał ochotę na szklaneczkę szkockiej.

- Szkocką - poprosił Patrick, sadwając się w skórzanym fotelu. - Z lodem.

Quentin nalał szkocką do dwóch szklanek, jedną z nich podał Patrickowi.

- Domyślam się, że Elizabeth nie wie o twojej wizycie - powiedział.

- Zgadłeś. Zawsze miałem cię za bystrego chłopaka.

- Co wiesz? - spytał Quentin.

- Tylko tyle, że w końcu powiedziała ci o dziecku.

A więc Patrick nie wiedział nic o propozycji małżeństwa, jaką Quentin złożył jego córce. Widocznie nie zamierzała mówić o tym ojcu, póki sama się nie zdecyduje.

- Nie mogę powiedzieć, żebym był zadowolony, że moja córka będzie miała nieślubne dziecko.

Quentin pokiwał głową. Przypuszczał, że Elizabeth nie powiedziała ojcu również o stanie swojego zdrowia, więc i on nie zamierzał o tym mówić. No tak, ale stan zdrowia Elizabeth nie wyjaśniał, dlaczego właśnie Quentin został ojcem jej dziecka.

- No, ale co się stało, to się nie odstanie - powiedział Patrick, uśmiechając się. - A wnusio to wnusio.

Quentin pociągnął łyk szkockiej. Przynajmniej w tej jednej sprawie miał błogosławieństwo Patricka.

- Nie chcę, żeby Liz cierpiała i mam nadzieję, że w końcu jakoś rozwiążecie ten problem.

Quentin żałował, że nie może być takim optymistą.

- Mówiła ci coś o Donovan Construction? - spytał.

- Owszem - Patrick zmarszczył brwi. - Ziała ogniem, kiedy z nią ostatnio rozmawiałem.

Quentin się skrzywił.

- Cieszyłem się jak dziecko - mówił Patrick. - W pewnym sensie firma powraca do rodziny. - I nagle jakby się zaniepokoił. - Przekażesz Donovan Construction dziecku, prawda?

- Jeśli o mnie chodzi, to Donovan Construction już do niego należy. Na pewno nie sprzedam firmy. Niezależnie od tego, czy Elizabeth przyjmie moje oświadczenia, czy nie.

- Nie przyjęła oświadczenia? - zdumiał się Patrick. Chwilę się nad czymś zastanawiał i widać podjął decyzję. - Cieszę się, że się dogadaliśmy - huknął.

Quentin wreszcie wszystko zrozumiał, pojął, dlaczego Elizabeth była taka wściekła o to, że nie powiedział jej o Donovan Construction. Jej ojciec najwyraźniej uważał, że ta firma to taki drobny dodatek do przyszłego wnuka. Koniecznie musiał coś w tej sprawie zrobić.

- Ona by chciała - Quentin bardzo ostrożnie dobierał słowa - żeby szanowano ją za to, czego dokonała, a nie za to, za kogo wyszła za męża.

Pod warunkiem, że zgodzi się wyjść za mnie za męża, dodał w myślach.

- Oczywiście, że chce być szanowana za swoje dokonania - mówił Patrick. - Cholernie ciężko pracowała na tę swoją firmę.

- Dlaczego sprzedała Donovan Construction? - Quentin wreszcie miał okazję zadać to pytanie, które od dawna go nurtowało.

- Budowlanka to trudny interes. - Patrick westchnął.

- A drobnym przedsiębiorcom z roku na rok coraz trudniej jest się utrzymać na rynku. Kiedy postanowiłem przejść na emeryturę, zdawało mi się, że najlepiej będzie sprzedać interes. Jako część większej firmy miał szansę na przetrwanie.

- Nie myślałeś o tym, że Elizabeth mogłaby poprowadzić przedsiębiorstwo?

- W życiu! - Patrick bębnił palcami po oparciu fotela. - A niby dlaczego miałyby chcieć się babrać w takim brudnym interesie? Poza tym ona właśnie wtedy zaczęła robić karierę jako architekt.

- Może dlatego, że miała pod ręką niewielką firmę pod nazwą „Donovan”?

Patrick milczał przez chwilę, przetrawiał tę informację.

- I tak byłaby to robota głupiego - powiedział w końcu. - Jak już mówiłem, na dłuższą metę firma nie miała szans na przetrwanie. Nie w tych warunkach.

- To prawda - zgodził się z nim Quentin. - Ale czy kiedykolwiek mówiłeś Elizabeth, dlaczego chcesz sprzedać firmę?

- Nie przypominam sobie. - Patrick westchnął. -A chyba powinienem. Nie chciałem, żeby sobie pomyślała, że sprzedaję, bo nie mam do niej zaufania.

- Sę w tym, że Elizabeth ma głowę do interesów, jest ambitna i świetnie wie, czego chce.

- To fakt - przytaknął Patrick z dumą. - Wrodziła się w tatusia.

- To może być jej to kiedyś powiedział? - Quentin patrzył prosto w oczy Patricka. Były tak samo zielone jak oczy Elizabeth, tylko złotych cętek im brakowało. - Nawet najlepsi czasami potrzebują dobrego słowa.

- Masz rację - zgodził się Patrick. - Na pewno jej powiem.

Liz całą noc nie mogła spać. Jak tylko zapadała w sen, śniła o Quentinie. Quentin prosi ją o rękę. Quentin się z nią kocha. Quentin rozbawiony, zirytowany, zły.

O siódmej wstała z łóżka. Na twarzy widać było ślady nieprzespanej nocy. Kręciła się po domu w szlafroku, przygotowała sobie lekkie śniadanie. Bardzo jej brakowało porannej kawy, ale gdy się zorientowała, że jest w ciąży, postanowiła nie tykać

kofeiny. Przyniosła sobie śniadanie do salonu. Postawiła tacę na niskim stoliku, a sama usiadła na kanapie.

Quentin się nie odzywał. Trzeci dzień z rzędu. Przecież tego właśnie chciała. Ale chyba niezupełnie.- Jakaś jej część marzyła, żeby nadal ją nachodził, żeby ją błagał o zmianę postanowienia.

W południe zadzwonił telefon. Od razu pomyślała, że to Quentin, i wściekła się na siebie za przyspieszone bicie serca, które ta myśl spowodowała. Nawet jeśli to on, powinna zachować spokój. Zwłaszcza, jeśli to on!

Ale to nie był Quentin, tylko jego adwokat.

- Rozmawiałem dziś z panem Whittakerem - poinformował ją. - Prosił, żebym zadzwonił do pani w sprawie warunków finansowych.

- Tak? - Zacisnęła palce na słuchawce.

- Pan Whittaker upoważnił mnie do przepisania na pani nazwisko wszystkich swoich udziałów w Samtech Industries. Czy zgadza się pani na to?

W głowie jej się zakręciło, dłonie zwilgotniały.

- Tak - wyjąkała, starając się mimo wszystko zachować spokój.

Co ten Quentin zrobił najlepszego?

- Doskonale. Przygotuję niezbędne dokumenty. Skontaktuję się z panią pod koniec tygodnia.

Adwokat pytał ją jeszcze o jakieś dane niezbędne do sporządzenia umowy. Liz odpowiadała automatycznie, właściwie bez udziału świadomości, a potem odłożyła słuchawkę.

Quentin postanowił przekazać jej Donovan Construction! W ten prosty sposób rozprawił się z jej obiekcjami dotyczącymi rodzinnej fomy. Nie będzie się mogła wykręcać od małżeństwa!

Ale dlaczego? To bardzo hojny dar. Nawet dla bogatego człowieka, który chce finansowo zabezpieczyć swoje dziecko.

Chyba że nie zrobił tego tylko dla dziecka, podpowiedziało jej serce. Nie było mowy o żadnych zastrzeżeniach. Nawet o takim, że udziały w holdingu są przeznaczone dla ich wspólnego dziecka.

Cała ta historia trochę przypominała wspaniałomyślne gesty, jakie w przeszłości robili mężczyźni zaślepieni miłością. Jakby Quentin chciał jej udowodnić, że nie tylko ją kocha, ale i ufa jej. I że ona nie musi już nic nikomu udowadniać. Chyba że samej sobie.

Czy to możliwe?

Zdała sobie sprawę, jak wielki przełom nastąpił w jego życiu. Quentin Whittaker, niegdyś podle oszukany przez zachłanną kobietę, odważył się obdarzyć zaufaniem kobietę. Inną, to prawda, ale jednak kobietę.

Przypomniała sobie, jak przed koncertem powiedział, że jej pragnie, że pragnął od pierwszego wejrzenia i że przez wiele lat walczył z pożądaniem.

Raczej mnie nie kocha, pomyślała, ale przynajmniej wiem na pewno, że mnie pragnie. A może Allison ma rację? Może to dobra droga do głębszego uczucia? Tak czy siak, warto powalczyć.

Spojrzała na zegarek, podniosła słuchawkę telefonu. Jeśli plan miał się udać, musiała skorzystać z pomocy Allison.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wszystko było zapięte na ostatni guzik. Z kuchni napływały smakowite zapachy: pieczeń, młode ziemniaki, a na deser tort czekoladowy - specjalność kuchni Liz Donovan.

Zapaliła ostatnią świecę, którą postawiła na kominku. Blask świec stwarzał jakże pożądany, romantyczny nastrój.

Rozejrzała się po pokoju. Stary stół po babci wysunęła na środek pokoju, nakryła go koronkową serwetą, a na nim ustawiła rodzinne pamiątki: porcelanowy serwis i srebrne sztucce.

Tata pojechał do kolegi. Zapowiedział, że wróci dopiero jutro wieczorem.

Poprzedniego dnia przyszedł z miasta w wyjątkowo dobrym humorze. Na wszystkie jej pytania odpowiadał „cudownie, groszku”, albo „co tylko chcesz, mój skarbie”. Próbowwała wypytać, o co chodzi, ale niczego się nie dowiedziała.

No cóż, jeśli ten wieczór przebiegnie tak, jak to sobie zaplanowałam, tata będzie miał jeszcze jeden powód do radości.

Jakoś tym razem ta myśl nie zajmowała jej zbyt wiele. Bo cóż z tego, że tata dostanie to, o czym marzy? Ona będzie miała Quentina.

Podeszła do lustra, żeby jeszcze raz sprawdzić, jak wygląda. Specjalnie na tę okazję kupiła komplet koronkowej czarnej bielizny i przejrzysty szlafroczek z czarnego jedwabiu. Wnioskując z poprzedniej reakcji Quentina na piękną bieliznę, wybrała najwłaściwszą broń.

Przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. Włosy opadały jej aż na plecy i stanowiły piękne obramowanie dla bladej twarzy z ogromnymi, zielonymi oczami. Usta obrysowane szminką w kolorze starego wina wyglądały znakomicie.

W sumie nie najgorzej, uznała. Jeśli Allison zrobiła, co miała zrobić, to Quentin zaraz tu będzie.

Dokładnie o oznaczonej godzinie zadzwonił dzwonek u drzwi. Liz najpierw pomodliła się w duchu, a potem poszła otworzyć.

Quentinowi najwyraźniej mowę odebrało. Każdy skrawek jej ciała, na którym spoczął jego wzrok; robił się gorący od tego spojrzenia. Po chwili jednak zauważył blask świec. Zaciśnął zęby.

- Allison prosila, zeby wpadl do ciebie po drodze -powiedzial. - Podobno masz dla niej jakies ksiazki. Ale chyba przyszedlem nie w porę.

Nie w porę? On?

Zdenerwowana, czerwona jak burak Elizabeth nagle poczuła zakłopotanie. A potem skojarzyła, że Quentin nie ma pojęcia, że ona czeka na niego. Patrzył na nią wilkiem, ale niczego nie tłumaczyła, tylko zaprosiła go do środka.

- Wejź, proszę - powiedziała jak gdyby nigdy nic.

- Zaraz przyniosę te książki.

Chłodne, wieczorne powietrze sprawiło, że sutki jej stwardniały i były doskonale widoczne pod cieniutkim materiałem stanika. Spojrzenie Quentina paliło żywym ogniem.

- Idź przodem - powiedział z wysiłkiem. Elizabeth weszła do salonu. W głowie jej huczało, czuła za plecami obecność Quentina.

- Czekasz na kogoś? - spytał, ujrawszy stół nakryty dla dwojga.

- Właściwie... Tak. Czekam.

- Ale to nie Lazarus - raczej stwierdził, niż zapytał. Śmiać jej się chciało. Nie rozumiała, jak Quentin mógł coś takiego pomyśleć. Zachowywał się tak, jakby był o nią zazdrosny, a to znacznie wzmocniło jej pewność siebie.

- Nie, nie on.

- Wiem, że to nie moja sprawa - mówił Quentin z wyraźnym trudem - ale może przypadkiem go znam?

- Owszem, znasz. Nawet bardzo dobrze.

- Chyba nie Matt ani Noah - myślał głośno. - Przecież bym ich pozabijał.

Postanowiła nazajutrz podziękować Allison. Widocznie powiedziała coś takiego, że Quentinowi nawet do głowy nie przyszło, że to dla niego te świece i ta kolacja.

- Nie wierzę - żartowała Liz, coraz bardziej pewna siebie. - Muchy byś nie skrzywdził, a co dopiero młodszych braci.

- Nie odpowiedział na pytanie - syknął.

- A jak myślisz - spytała cicho - kto to może być? Patrzyli sobie prosto w oczy. Oczy Elizabeth były pełne miłości.

- Wiem na pewno, kogo bym tu chciał widzieć - warknął. Podszedł do niej, właściwie podbiegł, przytulił ją i pocałował.

Elizabeth włożyła w ten pocałunek całą swoją duszę, ale nie zdołała opanować łez.

- Przestali, kochanie, nie płacz. - Wystraszony Quentin scałowywał łyż z jej policzków. - Nie jestem tego wart.

Czułość sprawiła, że łyż spływały szybciej. Quentin całował policzki, oczy, piękne usta Elizabeth.

- Elizabeth.

- Dajeś mi swoje akcje - szlochała.

- Dlatego płaczesz? - Patrzył na nią zdumiony, a potem się uśmiechnął. - Dam ci wszystko, co chcesz. Tylko nie płacz.

- Chcę ciebie. - Liz już dłużej nie mogła wytrzymać.

- Chcę, żebyś mnie kochał, żebyś kochał nasze dziecko.

Stał nieruchomo, jakby się zmienił w słup soli, jakby dostał obuchem w głowę. W końcu uśmiech rozjaśnił mu twarz. Pochylił się i oparł czoło o czoło Elizabeth.

- Już mnie masz. Całego. I moje serce też. - Pocałował ją delikatnie. - Kocham cię.

- Ty? - Tym razem ona doznała szoku. - To przecież niemożliwe!

- Dlaczego? - roześmiał się.

- Powiedziałeś, że na zawsze wybito ci z głowy romantyczną miłość i że lepiej traktować małżeństwo jak każdą inną umowę.

- Pamiętam. - Odsunął jej z czoła kosmyk włosów.

- Byłem głupi. Ale już wszystko sobie przemyślałem i chyba nareszcie zrozumiałem. Zrozumiałem, dlaczego tak się wściekłem na ten twój pomysł o sztucznym zapłodnieniu i dlaczego w ogóle mnie obchodzi, co robisz ze swoim życiem.

- A... A Vanessa?

- Ona nie ma z tym nic wspólnego. Zdeptała moją godność, pozbawiła pewności siebie i zdolności kochania. Na szczęście już po wszystkim. Zrozumiałem, że to, co

czułem do niej, w żaden sposób nie da się porównać z tym, co czuję do ciebie. Wystarczyło, że się uśmiechnęłaś do tego idioty Lazarusa, a ja już byłem zazdrosny. Nie wyobrażasz sobie, co czułem, kiedy zobaczyłem ciebie i No-aha w restauracji.

- Naprawdę myślałaś, że ja i Noah...

- Owszem. Wiem, wiem, bardzo mnie wzięło. - Spowaźniał. - Powinienem być ci powiedzieć o Donovan Construction...

Położyła mu palec na ustach, chciała, żeby przestał mówić.

- Nie chcę tych akcji. Dopiero po rozmowie z twoim prawnikiem dotarło do mnie, że ta firma nie jest dla mnie ani w połowie taka ważna jak ty.

- A ja nie chciałem, żebyś myślała, że z powodu tej firmy nie możesz zostać moją żoną.

- Tak, rozumiałam to. Nie wiesz, ile dla mnie zrobiłeś. Dzięki tobie uświadomiłam sobie, że nikomu nie muszę niczego udowadniać.

Oczy mu zabłyśły, a potem się uśmiechnął.

- Cieszę się, że wreszcie rozumiałaś.

Był dla niej taki dobry... No i był ojcem jej dziecka. Czego jeszcze można chcieć od życia? A jednak...

Quentin wziął ją na ręce, zaniósł na górę do sypialni.

- Pieczeń... - próbowała protestować Elizabeth.

- ...może zaczekać.

- Po rozmowie z twoim adwokatem - mówiła, zapomniawszy o pieczeni - zdałam sobie sprawę, że nie tylko na dziecku ci zależy. A potem rozumiałam, że bardzo cię kocham i żadna firma nie ma dla mnie znaczenia. Chcę tylko ciebie. I postanowiłam cię uwieść.

- Możesz to robić codziennie. Nigdy mi się nie znudzi. Położył ją na łóżku, zdjął marynarkę i zaraz przytulił się do Elizabeth.

- To ja miałam ciebie uwodzić - przypomniała mu.

- Daj spokój. Nie mogę cię nie dotykać.

- I przez to ten cały ambaras - roześmiała się Elizabeth. - Nie umiemy się nie dotykać.

EPILOG

- Tak wygląda upadłe bóstwo.

Noah Whittaker przyglądał się, jak Quentin chodzi tam i z powrotem po salonie z trzymiesięcznym Nicholasem Patrickiem Whittakerem na rękach. Malec bekał za każdym razem, kiedy ojciec klepnął go w plecki.

- Nie wiesz, co tracisz - Quentin uśmiechnął się z wyższością.

- Racja. Na szczęście nie wiem.

Quentin już się przyzwyczaił do tych kpin. Ostatnio nic nie mogło zakłócić jego błęgiego spokoju. Miłość do Elizabeth okazała się czymś najlepszym, co go w życiu spotkało, a narodzin Nicholasa nie dało się z niczym porównać.

- O co chodzi? - spytała Allison, która właśnie weszła do pokoju razem z Elizabeth.

Noah rozsiadł się na kanapie z miną niewiniątka.

- O to, że nie mam nic innego do roboty, jak tylko patrzeć na Quentina, który odpowierza mojego rewelacyjnego bratanka.

Allison najwyraźniej nie uwierzyła, a Quentin się uśmiechnął. Elizabeth wzięła od niego synka, popatrzyli na siebie z miłością. Macierzyństwo rozjaśniło ją od środka. Oczywiście miłość Quentina z pewnością też pomogła. Pocałował ją, zanim oddał jej dziecko.

- Faj! - Noah skrzywił się z udanym obrzydzeniem. - Zakochane króliczki znów przy pracy. Czy wy nigdy nie odpoczywacie? Jak nie przestaniecie, Junior zostanie starszym bratem, zanim zacznie raczkować.

- Uważaj - wtrąciła się Allison - bo możesz być następny w kolejce.

- Życzysz mi - Noah z obrażoną miną pokazał palcem szczęśliwą rodzinę - czegoś takiego?

- Mam bardzo miłą koleżankę - powiedziała ze słodyczą w głosie Allison. - Na pewno ci się spodoba.

Noah przesunął palcami po czuprynie.

- Czułem, że nie wolno pomagać w tych twoich intrygach - mruknął. - Mogłem się domyślić, że jak tylko załatwisz Quentina, to zaraz weźmiesz się za mnie.

- O, właśnie, zapomniałam ci podziękować - powiedziała Liz do przyjaciółki. - To ty zaproponowałaś, żeby Quentin został dawcą spermy. Wtedy to był naprawdę szalony pomysł...

Noah roześmiał się.

- To tylko wierzchołek góry lodowej.

Allison miała skruszoną minę. Liz dopiero teraz zaczęła coś podejrzewać.

- O co mu chodzi, Ally?

- Chcesz wiedzieć? - Uśmiechnięty Noah wyciągnął przed siebie rękę i zaczął odliczać na palcach. - Po pierwsze: zaciągnęliśmy Quentina do tej francuskiej restauracji, żeby nas tam spotkał i myślał, że ty i ja jesteście razem.

Allison rzuciła bratu mordercze spojrzenie.

- Naprawdę to zaplanowaliście? - spytała zdumiona Liz.

- No... - wyjąkała Allison.

- Potem skontaktowaliśmy cię z Quentinem pod pretekstem tych stroików, które miał od ciebie odebrać - ciągnął Noah bardzo zadowolony z siebie.

- Zapłacisz mi za to! - ostrzegła go Ally.

- Wiedziałeś o tym? - spytała Elizabeth męża.

- Co nieco podejrzewałem. - Wzruszył ramionami. - Ale możesz być pewna, że niektóre szczegóły ich diabelskiego planu poznamy dopiero za parę lat.

- No - zgodził się pogodnie Noah. - Zwłaszcza że wyszły takie sprawy, których nawet Allison by nie przewidziała. Kto by pomyślał, że tata Liz i nasza Celinę przypadną sobie do gustu? Patrick wraca do Carlyle! Założę się, że nie tylko po to, żeby być bliżej wnuka. Pewnie niedługo też staną na ślubnym kobiercu, chociaż nasza Ally nawet nie próbowała ich swatać!

- Dobrze, już dobrze - przerwała mu Allison. - To ja jestem wszystkiemu winna. I co mi zrobisz? Podasz mnie do sądu? - Popatrzyła na Liz i jej męża. - Nie bardzo jest za co, bo nikomu nie stała się żadna krzywda. A może któreś z was uważa, że mój słodki, maleńki bratanek jest tą szkodą, która wynikła z mojego przestępstwa?

Liz spojrzała na śpiące maleństwo i zrobiło jej się ciepło koło serca. Ona i Quentin stworzyli wspólnie ten maleńki, wielki cud. Oni i ich wzajemna miłość, która z każdym dniem stawała się coraz większa.